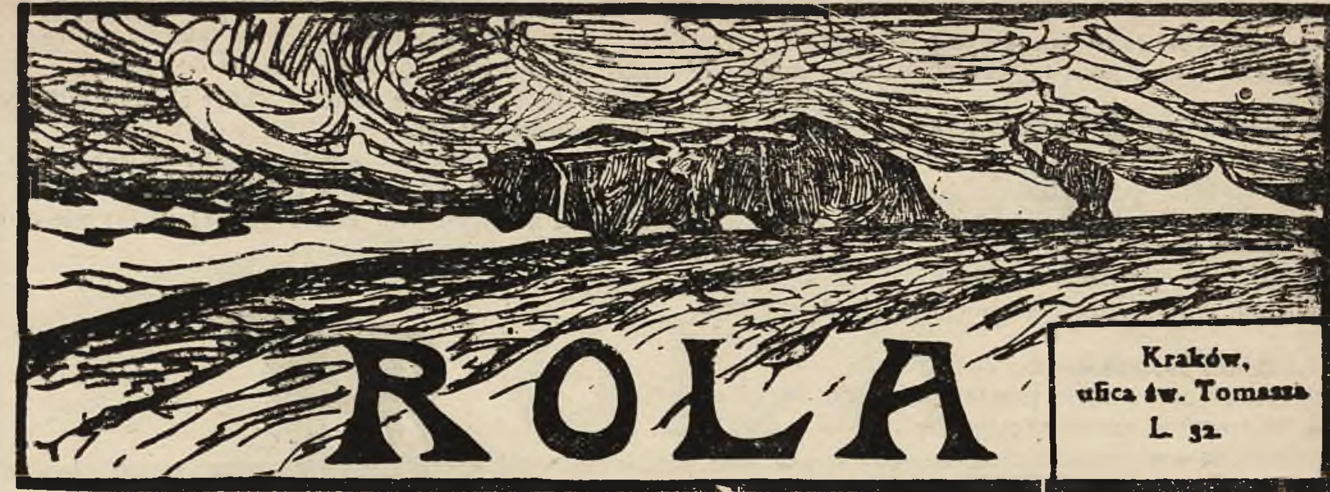
Numer 37. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 15 Września 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Nasze sługi.

— Słuchajno Marysiu... co to znaczy przed naszemi oknami już od godziny przechadza się jakiś żołnierz?

— Rety i pani mi dopiero teraz o tem mówi?

Nasze dzieci.

— Czy wujcio zna tego bociana, co dzieci przynosi?

— Znam Jasieńko, albo co?

— Niech mu wujcio powie, aby mnie nazad odniósł, bo tu mnie mama często bije.

Pewny środek.

— Czy pan chrapie?

— Nigdy, kochany panie, nigdy.

— Ale czy pan jest tego całkiem pewny?

— Absolutnie, czuwałem raz całą noc, aby się o tem upewnić.

Niebywały okaz.

Dyrektor pewnego muzeum pokazuje czaszkę, o której twierdzi, że jest czaszką Kopernika; później, pokazując drugą mniejszą, mówi:

— Ten sam, gdy miał sześć lat.

Żydowska inteligencja.

Pani Zwischenduft wraca od lekarza, którego się radziła na bóle żołądkowe i mówi do męża:

— Co ty powiesz na to — lekarz chce mi jutro wypompować żołądek!

— Nu, co jest? — powiada Salo Zwischenduft — ty nie zapominaj przed wypompowaniem najeść się ostryg i kawioru, aby lekarz widział, że my nie żadna hołota.



Bardzo prawdopodobne.

Sędzia: Proszę świadka powiedzieć mi, jakie jest jego ostatnie miejsce pobytu?

Świadek: Czy ja wiem? Ostatnie miejsce pobytu... czy ja wiem... myślę, że to będzie cmentarz.

Zła rada.

Chory: Poradził mi, abym się udał do pana. to ziołami leczy i on mi poradził...

Lekarz: Ten wam doradził niemożliwe głupstwo i niedorzeczność. Znam się na tem.

Chory: Najprzód byłem u naszego znachora, co

Numer 37. Rok XII. Kraków, dnia 15 Września 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Gdzie prawda?

Dużo się dzisiaj mówi i czyta o różnych krzywdach. Tam skrzywdzono sierotę, tu całą rodzinę, ówdzie krzywda spotkała zasłużonego dla narodu męża i tak ciągle dokoła. Bo są w społeczeństwie ludzie, którzy, zapominając o najważniejszem przykazaniu miłości, krzywdzą jedni drugich na ciele, na majątku, na duszy.

O ile wszyscy zdajemy sobie sprawę z krzywdy majątkowej, z uszkodzenia ciała, o tyle niezawsze spostrzegamy nieprzyjaciela, który chce wyrządzić krzywdę naszej duszy, chce nas poniżyć, upodlić. A takich krzywdzicieli jest w naszych czasach dużo. Chodzą oni między ludźmi i zasiewają złe ziarna nienawiści bratniej, drukują książki i gazety, w których, zamiast słów prawdy, rzucają potwarze, oszczerstwa, nawołują do czynów złych, bezbożnych.

W ostatnich czasach ci siewcy zła, ze szczególną wściekłością rzucają się na Kościół, na biskupów i na kapłanów. Czego też nie wygadują, czego nie wypisują w swoich gazetach i ulotkach? Papier jest cierpliwy, oszczerca nie liczy się ze słowami, chodzi mu tylko o to, aby w ludzkich sercach zapalić nienawiść do tego wszystkiego, co dobre i święte.

A chcąc pozyskać serca i otumanić ludzi, taki siewca nienawiści, udaje człeka bardzo religijnego, tłumaczy on, że co innego religja lub Kościół, a co innego księża, że religję każdy szanować powinien, ale ksiądz, to wróg ludu, bo on jest tylko na to, aby z ludzi zyski ciągnął. Słyszałem to nieraz i czytałem. Znamy dobrze takich niby religijnych agitatorów i pismaków. Już stare przysłowie o nich mówi: „Ubrał się djabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni“.

Żal tylko ludzi, którzy słuchają tego wszystkiego i krwawo zapracowany grosz wydają na gazety i książki przepełnione takiemi bredniami.

Każdy, kto ma odrobinę zdrowego rozsądku w głowie, odrazu zrozumie, o co chodzi, odrazu dojrzy, iż jest to sprytnie obmyślany plan.

Nieprzyjaciel, który uderza na wroga, stara się przedewszystkiem trafić w wodza, w oficerów, rozumiejąc doskonale, że szare masy żołnierskie, pozbawione kierownictwa, pójdą rychło w rozsypkę i w niewolę. U nas katolików najwyższym wodzem jest papież, Ojciec św. Pius XI, generałami — biskupi, a oficerami księża. Oni, dzięki specjalnej łasce sakramentalnej, dzięki długoletniej nauce i ćwiczeniom duchownym, mają umiejętność, wiedzą, jak mają kierować sprawami Kościoła św. i pomagać do zbawienia. Oni są nauczycielami, którzy naukę Chrystusa Pana wykładają, lekarzami, którzy w konfesjonałach leczą dusze zbłąkane.

I jeśli niema wojska bez wodzów — oficerów, szkoły bez nauczycieli, szpitali bez lekarzy, tak nie może być Kościoła bez biskupów i kapłanów. Jest to jasne jak słońce i zrozumiałe nawet dla dziecka. Rozumieją to doskonale zaciekli partyjnicy, boć i oni mają swoich prezesów, dyrektorów, posłów i redaktorów, których słuchają i rozkazy ich wykonują. Uderzają w biskupów i księży, bo chcą, byśmy byli bez wodzów, kierowników i nauczycieli świętej Ojców wiary. Wtedy przyjdą ci fałszywi nauczyciele i przewodzić nam będą. Wyrzucą prawa Boże z praw ludzkich, rodzin, szkół i sądów, wyrzucą religję i rozpoczną prześladowanie jak w Rosji lub w Meksyku.

Wrogowie Kościoła mają jeszcze jeden sposób. Udając sprawiedliwych a niby to lud biorąc w obronę, chcą księdza traktować jako urzędnika. Prawda, kapłan, gdy sporządza akt chrztu, ślubu, czy śmierci, wykonywa pracę, jak każdy inny urzędnik. Ta praca jest konieczna i potrzebna i za nią otrzymuje (za te metryki) pewną opłatę, z której musi wynagrodzić organistę, utrzymać kancelarję i kupić księgi. Ale to nie kapłaństwo.

Kapłaństwo według nauki naszego Kościoła św. to sakrament, biskupi i kapłani — to z woli Bożej, następcy Apostołów, to ludzie, którzy otrzymali od P. Jezusa prawo nauczania, związywania i rozwiązywania. O nich Boski Zbawca powiedział: „Kto was słucha, mnie słucha, kto wami gardzi, mną gardzi“.

Kto w księdzu widzi tylko urzędnika, ten nie jest katolikiem, ten o katolickich sprawach mówić nie ma najmniejszego prawa. Protestanci i wszelkiego ga-

tunku sekciarze swoich kapłanów mają za urzędników i słusznie, boć ci ich duchowni nie mają prawowitej władzy, nie otrzymali sakramentu kapłaństwa. Nauczyli się mówić kazania, wykonywać kilka obrzędów i tyle. Mają trochę nauki kapłańskiej, lecz zapamiętajmy to sobie dobrze, nie mają władzy, nie mają mocy kapłańskiej.

Ci więc, co chcą księdza katolickiego zamienić w urzędnika, chcą zabić w nim sakrament. Próżne zachcianki. Kapłani nasi pomimo tego gadania, kapłanami byli i kapłanami pozostaną.

Ale powie mi kto: „To czemu kapłani, skoro nie są urzędnikami, biorą pieniądze i każą sobie za wszystko płacić“?

Po pierwsze nie prawdą jest, że kapłan każe za wszystko płacić. Kto, gdzie i komu, zapłacił za spowiedź, za wyjazd do chorego, za nabożeństwa i nauki w niedziele i święta, kto płaci za misje i rekolekcje w parafji? Kto? Nikt.

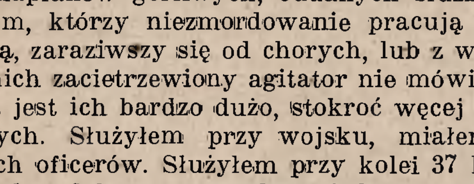
Po drugie — kapłan jest człowiekiem. Musi się odżywiać i być ubranym, musi się leczyć, sprowadzać drogie książki, aby lud i dziatwę nauczać, opłacać duże składki na Seminarjum, bo rząd daje na ten cel ale za mało, na misje, czyli na nawracanie pogan — na to wszystko są potrzebne pieniądze, których sam przecie nie robi.

Po trzecie. Kapłan będąc ojcem duchownym, dba jednak i o nasze sprawy społeczne, narodowe. Ile on nieraz poświęca pracy poza kościołem, w związkach, stowarzyszeniach młodzieży, w kasie Stefczyka jako przewodniczący jak i w mej parafji od 19-tu lat bez zapłaty ani grosza, kółkach rolniczych, w dozorach i radach szkolnych i t. d.

Ksiądz jest człowiekiem i jako człowiek niejednokrotnie może zbłądzić i zgrzeszyć. Byli, są i będą księża, którzy mało dbają o chwałę Bożą, a więcej chodzą koło swoich spraw doczesnych. Ale nie możemy dla jednostek potępiać ogółu, jak nie możemy potępić 11-tu Apostołów dla jednego Judasza. Każdy dobry katolik powinien więcej cenić księdza katolickiego jak Anioła, bo ksiądz może grzechy odpuścić, a Anioł nie ma tej władzy.

Pewien świątobliwy kapłan, dopóki był klerykiem, widywał Anioła przed sobą idącego, a gdy został kapłanem, Anioł chodził za nim na znak jego wyższej godności. Są źli nauczyciele, niedobrzy lekarze, niesumienni sędziowie, ale nikt nie powie, że szkoła jest niepotrzebną, że wszystkich lekarzy trzeba usunąć i pozamykać sądy. Popatrzmy tylko, a zobaczymy kapłanów gorliwych, oddanych służbie Bogu i ludziom, którzy niezmordowanie pracują i często umierają, zaraziwszy się od chorych, lub z wyczerpania. O nich zacietrzewiony agitator nie mówi, ich nie widzi, a jest ich bardzo dużo, stokroć węcej niż tych niedobrych. Służyłem przy wojsku, miałem złych i dobrych oficerów. Służyłem przy kolei 37 lat, miałem bardzo dobrych i bardzo niedobrych przełożonych, a gdybym ich był nie słuchał, nie miałbym dziś na stare lata pensji, tak gdybyśmy nie słuchali kapłanów, nie otrzymalibyśmy pensji duchownej t. j. nieba.

J. Serafin
emerytowany strażnik kolejowy.



HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Wilk uwiązany na grubym konopnym powrozie zaskomlał, a poznawszy swoich rwał się do nich po pieszczotę.

Za bramą po jednej i drugiej stronie stały obszerne zabudowania z szerokiemi podcieniami kryte częścią słomą, częścią korą świerkową, a bokiem zamykał dziedziniec ogromny szpichlerz ustawiony na wysokich palach, który służył za schowek całemu rodowi nad którym dzierżył władzę mieszkaniec tego grodu.

W około poza budynkami znajdował się szeroki, trawą porosły plac, biegnący równo z wałami i palisadami, miejsce zborne, dla rodu, w razie obrony Tynu.

Na środku obszernego dziedzińca pod rozłożystą lipą, na ławce ułożonej z wapiennych głazów, siedział siwowłosy starzec, w białym konopnym kitlu i słomianym kapeluszu.

Wsparłszy ręce na krzywej lasce, a na niej długą jak śnieg białą brodę, patrzał na igraszki swego ulubieńca niedźwiedzia, to na sadzawkę, na której nurkując się pluskało stadko oswojonych kaczek.

Na podcieniach domostw siedziały niewiasty otulone w ostre konopne samodziały i przędły cienkie nici z kądzieli konopnej przyczem pozierały na wrzaskliwie, bawiącą się gromadę nagich o rozkudlonych, jasnych włosach dzieciaków.

Były to żony, córki i dzieci szesnastu synów starego Juga Starży, władyki na Tynie, spłodzonych z trzech żon, jakie zwyczajem starym równocześnie posiadał.

Pięciu najmłodszych synów i najstarszego wnuka, świtaniem wysłał tratwą w dół Wisły z pękiem sobolich i bobrowych skór, aby je u swych pokrewnych ziomków, a trudniących się mozolnym dobywaniem soli wymienić na ten drogocenny kruszec. Resztę, razem z wyrostkami wnuków i prawnuków podzieliwszy je na dwie połowy, wysłał jedną z oszczepem i łukiem polować na grubego zwierza w las, a drugą z sieciami i wędkami do Wisły na ryby. Zaś dziewki i dzieci z koszami do boru na jagody i grzyby.

W domu pozostały tylko kobiety mające przy piersi małe dzieci, ciężarne, chore i drobne dzieciaki, kórych jeszcze nie można użyć do żadnej użytecznej pracy, a nad nimi objął straż i opiekę stary Jugo oraz jego syn Sławoj, któremu, że jako kulawy (którego przed laty okaleczył zwierz), oddano w opiekę dźwierze Tynu.

Młodzi ludzie z kruszami soli na ramieniu przebyli prędko przestrzeń od bramy do lipy i u stóp Juga ułożyli skarb. Ucałowawszy starca rękę, stanęli kołem skromnie i opowiadali doznane przygody.

Władyka siedział nieruchomo, oczyma wodził po niedźwiedziu, po hałasującej czeredzie dzieciaków tak, jakby go to nic nie obchodziło, co młodzi mówią.

Dopiero, kiedy porządkiem rzeczy zaczęli opisywać widziane u groty Bojana Jaksy przedziwne łodzie i nieznanych ludzi, podniósł głowę i przeciągle popatrzał na nich.

— Rośli, o garbatych nosach i garbatych czołach?! — pytał coś ważąc w głowie.

— Tak i szerokich barach! — dodał jeden.

— Gorze nam! — Znam ten lud! Bo widywałem we Wiślicy, gdzie gościli ciągnąc ku wschodowi, to... Normandowie!

Blady powstał i rzekł rozkazująco:

— Zwołać wszystkich z łowów!

Skoczyli w dźwierze domostwa i za chwilę każdy z ogromnym bawolim rogiem w ręku wybiegli za bramę.

Zadrgało powietrze przeszyte niskiemi to wysokiemi tonami trąby. Raz krótkie to znowu długie tony dolatywały ze wszyskich stron Tynu.

Nareszcie głosy rogu odezwały się gdzieś z oddali krańca boru, potem odpowiedziano im z zarośli nad wodą, aby wkońcu obciążona zdobyczą latorośl starego Juga spiesznie schodzić się zaczęła w dziedzińcu i składać łupy u stóp władyki.

Wnet ostatni przestąpił bramę, a za chwilę wszyscy mężczyźni otoczyli starego władykę, czekając na słowa rozkazu.

On powstał z siedzenia i podpierając się laską, postąpił krok naprzód, powiódł okiem po licznej swojej latorośli, wreszcie zawołał:

— Starża!

— Starża! — odpowiedzieli chórem.

A Jugo suwając nogami, wsparty przez wnuków skierował się do bramy, przebył ją i skręcił do obok, za palisadą znajdującego się Uroczyska, a za nim wszyscy starsi rodziny.

Tu pod cieniem świętego dębu usiedli na głazach, a stary Jugo zaczął:

— Gorze nam, bo w nasze sioła zakrada się drapieżny wilk! Jeżeli zawczasu nie zdławimy zmory, wyssie z nas wszystkie soki!

— Rozesłać wici! — rzekł najstarszy Jarosław.

— Jest na zagrodzie zdolnych do dzidy i łuków kopa, więc uderzmy razem sami! — dodał drugi.

Powstał na to trzeci z rzędu syn Juga Dobrosław i nieśmiało, jak to zawsze czynił, jął prawić:

— Młodzi widzieli te dziwy! A wiadomo, że im się często w oczach dwoji! Nie godzi się na słowa niemądrych niepokoić szerokie dziedziny i lepiej trzech statecznych wysłać na zwiady, a co oni powiedzą, wtedy radzić złemu!...

— Dobrze mówi! — odezwały się głosy.

Jugo widząc zgodę gromady rozkazał:

— Wszewołod, Chrudosz i Zaboj niech spieszą i przyniosą wieści!...

W milczeniu powstali spiesznie i zabrawszy po drodze oszczepy i łuki, znikli za chwilę w borze.

III.

Po odejściu młodych Starżów z nad Wisły trzy łodzie z Normandami przybiły do ławy piaszczystej u stóp wzgórza. Ludzie wysiedli z nich na brzeg i rozglądnęli się uważnie po otoczeniu.

Zbadali szczegółowo sąsiednie zarośla, stok góry, zajrzeli do pieczary, obeszli dokoła pagórek, wreszcie wymierzywszy krokami wszerz i wzdłuż powierzchnię wzgórza, powrócili do łodzi i spiesznie popłynęli za prądem wody w dół Wisły.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy naraz w dole rzeki ukazało się mnóstwo czarnych punktów na całej szerokości Wisły.

Wolno, stopniowo pokonując silny prąd wody, posuwali się w górę rzeki, aż wreszcie wyłoniło się z oddali kilkadziesiąt łodzi z wysokiemi nad wodę sterczącemi burtami, szczelnie zapełnionemi mrowiem zbrojnych postaci.

Płynęli całą szerokością koryta rzeki, otaczając większy statek, poruszany wiosłami umieszczonemi wzdłuż boków, przez szereg siedzących ludzi, na którym w środku na powyższeniu osłonionem od słońca spłowiałą materją, na wygodnem krześle siedział mąż, odziany w szkarłatną opończę.

Z pod lisiego kołpaka widać było wysokie czoło, oczy bure, niespokojnie przeskakujące z przedmiotu na przedmiot, nos garbaty, obwisłe policzki i bezzębne, szerokie usta.

W plecach wązki z olbrzymim obwisłym, jak flak ku dołowi brzuchem, ręce długie, zakończone krótkiemi a grubemi palcami, na ciężkich w stosunku do brzucha nogach, tak, że każdemu, kto na niego spojrzał, przypominał żabę.

Był to normandzki książę Seming, syn jednego z nielicznych normandzkich „królów“ osiadłych na głębokiej północy, którego zwyczajem swoich przodków wyposażył ojciec w statek, łodzie, broń, narzędzia i załogę i wysłał w świat na zdobycie sobie państwa.

Normandowie byli jedynym narodem w Europie, który posiadał w wysokim stopniu rozwinięte zdolności panowania i był czas, że prawie wszystkie trony obsadzał swymi potomkami.

Słowianie nie mający ani w swej religji ani w gminie pojęcia jedynowładztwa, nie byli w stanie wytworzyć silniejszej organizacji państwowej i dopiero najazdy Normandów nauczyły ich składać swoje interesy w jedne ręce.

Nie przynosili oni nic ze sobą oprócz państwowości, a w niektóre kraje nieznany oręż i narzędzia, a często już dzieci najeźdźców zazwyczaj zapominały rodowego języka i zlewały się z tubylczą ludnością.

Seming niczem nie był podobny swoim ziomkom.

Okrutnik, despota, żarłok, przytem o zwyrodniałych instynktach osobnik, załogę swoją traktował jak niewolników, to też ciągle bał się o swoje życie i tylko kilku zaufanych dopuszczał do siebie.

Przepłynąwszy Bałtyk, wjechali na Wisłę i żeglując wciąż w górę rzeki, nie zatrzymali się nigdzie, ponieważ widocznie dobrze poinformowani o panujących tam stosunkach, ominęli lepiej zorganizowane w jedność terytorja i dotarli aż pod Wawel.

Ciężko pracując wiosłami, z prądem wody płynęli od świtu. Około południa przystanęli koło brzegu, by wypocząć i zgotować strawę, a Seming podczas tego wysłał trzy łodzie w górę rzeki pod wodzą najdzielniejszych swoich wojowników Kraka i Raninga podobnych do siebie tak z postawy jak i z twarzy, słowem dwaj sobowtóry, by opatrzyli okolice przyczem oznajmił, że jest zdecydowany nie posuwać się dalej i tutaj utrwalić swoją władzę, zwłaszcza, że okolica zdała mu się być dość gęsto zaludnioną, a przytem obfita w bory, pełne dzikiego zwierza, co ważnem było dla wyżywienia licznej jego załogi.

Wojownicy, podpłynąwszy pod Wawel, uznali, że przyszła siedziba księcia godne mogłaby znaleść umieszczenie na jego szczycie, zwłaszcza, że na czas budowy grodu niezgorsze mieszkanie znalazłby książę Seming w pieczarze u stóp góry.

Zebrawszy potrzebne szczegóły, wymierzywszy szczyt krokami, popłynęli z powrotem, i opowiedzieli księciu swe myśli, na co on zdecydował się prędko i rozkazał podpłynąć pod wzgórze.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem Bojan Jaksa, mając u boku swą córkę Salwidę, obciążony jagodami, dzikiemi gruszkami i grzybami powrócił z lasu.

Stanąwszy u wchodu do jaskini, złożył kobiałki i zaczął się rozglądać po ziemi.

— Mieliśmy gości! — rzekł do Salwidy i wszedł do środka pieczary.

Pod jedną ścianą obszernej jaskini na krzyżowych nogach, z łupanych kawałków drzewa stał nieudolnie sklecony stół, obok ława, dalej kupa suchych liści przykryta pękiem skór, a w około na połyskującej od wilgoci jakby wylizanych ozorem w białym wapieniu garbatych ścianach, na kołkach wbitych w szczeliny skały wisiały oszczepy, samotrzaski na ptaki, wędki na ryby, dalej odzież, kożuchy i inne użyteczne rzeczy.

Na środku równego klepiska leżeła kupa żarzącego się popiołu, a ze stropu zwisały wspaniałe stalaktyty poczerniałe kopciem osiadłym z dymu paleniska.

W głębi za przedziałką, uplecioną z łoziny, znajdowało się łoże Salwidy, bodnie z suszonymi owocami i jagodami, wiechy z koźlej skóry, pełne pitnego miodu, zapasy bobrowych i sobolowych skór, płaty konopnych parcianek, oraz inne cenniejsze rzeczy, nagromadzone przez zapobiegliwego gospodarza.

Bojan oglądnął wnętrze, zatrzymał wzrok na śladach wyciśniętych w popiele u ogniska, poczem wyszedł z powrotem na pole, zeszedł na odsypisko nad Wisłę i długo badał odciski.

— Jacyś nieswoi tu byli! — rzekł, wróciwszy, do córki, przyczem znać było po nim głęboki niepokój.

— I niegłodni! — odrzekła Salwida — ponieważ miód i owoce na stole nietknięte!

Bojan usiadł na ławie, a Salwida, uklęknąwszy na klepisku, dmuchała w popiół, podsycając ognisko.

Było to dziewczę jeszcze młode, zaledwo wyrosłe z lat dziecińśtwa, o pięknym profilu, rumiane, i o kształtnej postawie, jaką rzadko można było spotkać w okolicy.

Ubrana w szarą parcianą długą do kostek sięgającą koszulę, zapiętą wysoko pod szyję w chodakach z lipowego łyka na nogach, które obciągnęła parcianką splecioną wąskim paskiem skóry aż po same kolana, by się uchronić w borze przed ukąszeniem jadowitego gada i nie być narażoną na okaleczenie przez ciernisté krzewy. Na ramiona zarzuciła krótki kożuszek bez rękawów, odwrócony włosem na wierzch, a włosy jasne, spadające jej kaskadą poniżej pasa, ujęła zgrabnie białym płatem płótna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żniwa.

Na tle prawdziwego zdarzenia.

Pogoda dopisywała jak nigdy. Wiał ciągle suchy wiatr wschodni, lekko falując łanami złotej pszenicy, która aż się prosiła pod sierpy, czy kosę. Bóg chcąc zapewne wynagrodzić ludziom za ciężką i srogą zimę, darzył ziemę słońcem, że ta aż pękała i tworzyły się na powierzchni niezliczone szczeliny, a ludziska aż się smażyli za życia. Za to po pracy, gdy nadszedł wieczór, rzeka rozbrzmiewała krzykami kąpiącej się dziatwy, a zimne piwnice wydawały całe garnce kwaśnego mleka na ochłodę spieczonych ust żniwiarzy i żniwiarek. A jutro czekał znowu trud.

Stary Jakób Grzęda, ułożywszy pięknie snopki w mendle i poklepawszy nieco kosę, wyszedł z rana do pszenicy, poobmacywał kilka kłosów, przeżegnał się nabożnie i zamaszyście począł kosić. Upał się wzmagał, a Jakób, ocierając gęste krople potu, machał dalej i machał, tak był na robotę zawzięty. Wiedział dobrze, że jeśli raz zrobi, nie będzie tego robił poraz wtóry, a może nawet przez pośpiech uniknie późniejszej słoty lub jakiej katastrofy żywiołowej.

Zaś obok na przeciwnem stajaniu, pociągając co kilka snopków potężny łyk z butelki, kosił herkules Czerpała, który niedawno przyjechał z Ameryki i popisywał się przed wszystkimi swą siłą mięśni, encyklopedycznością umysłu i znajomością grzechów całego kleru. Z zasady był to poczciwy człowiek i dałby się wkrótce przerobić, tylko miał jedną wielką wadę, a mianowicie był gwałtowny w czynach. Nieraz, gdy się z kim spierał i wewnętrznie przyznawał przeciwnikowi rację, obstawał dalej przy swojem i siłą zmuszał tamtego do cofnięcia swego sądu, czy pretensji. Później tego żałował, ale było zapóźno.

Jakób przystanął na chwilę, otarł zgrzebną koszulą pot z twarzy, rzucił okiem na słońce, przed siebie i za siebie, a następnie, przystawiwszy rękę do czoła, spojrzał po łanach sąsiadów. Wszędzie machano kosiskami. Lniane czupryny parobków, czy kolorowe chustki krasawic widniały wszędzie, gdzie tylko wzrok mógł dosięgnąć. Jakób najdłużej patrzał na herkulesa, który, zdawało mu się, tak się rozmachał, że kosił jego pszenicę. Odłożył więc kosę na bok i poprawiwszy szerokiego, sprzączkami nabijanego pasa, podszedł do herkulesa i przypatrzył się biegnącej granicy. Rzeczywiście, Czerpała cały zziajany, z pianą na ustach, wpadłszy w jakiś trans i przekroczywszy dawno graniczącą bruzdę, automatycznie, niby maszyna siekł i siekł!

Jakób, niby na zebraniu rady gminnej, gdy ma przemawiać, chrząknął i w te ozwał się słowa:

— Kumie, (tak z przyzwyczajenia każdego nazywał, bo miał aż tuzin dzieci) czy nie poznajecie, że to już moja pszenica, co kosicie?

Herkules podniósł głowę i ściągnął brwi w podkowę.

— Hę? Mnie chcecie zwracać uwagę, mnie?

— To się przypatrzcie na granicę, gdzie ona a gdzie wy sieczecie — rozumowo odrzekł Jakób.

Czerpała zaklął po angielsku i rozszerzywszy szeroko źrenice, ryknął:

— Ty stary pryku, pilnuj lepiej własnej roboty i nie wtrącaj się do mojej!

Przytem zamachnął z całej siły kosiskiem i puścił na głowę Jakóba.

— Matko Tarnowiecka... — jęknął Jakób i osunął się na ściernisko, a jego skroń przybrała się strugą purpurowej krwi.

Czerpała natychmiast oprzytomniał i wypuściwszy zdradziecką kosę osłupiałemi oczyma spojrzał na swą ofiarę, będącą w agonji. Następnie szybko sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął olbrzymi brauning amerykański i przystawił do skroni.

— Giń wściekły psie — syknął — nic tu po tobie na ziemi.

Huknął strzał i Czerpała legł obok Jakóba.

Zbiegli się ludzie z okolicznych pól i widząc co się stało, poczęli odmawiać za ich dusze pacierze.

A gdzieś ode wsi dolecialy jękliwe tony smutną wieść głoszącego dzwonu.

Edward Cygan.

SAMOLOT WŚRÓD INDJAN.



Jak wiadomo, samolot nie jest dawnym wynalazkiem, a szersze jego zastosowanie nastąpiło dopiero podczas wielkiej wojny światowej. Opanowanie powietrza przez samoloty przeszło jednak niemal niespotrzeżenie, gdyż wówczas umysły były czem innem zajęte. Dziś, jak ptaki, możemy się przenosić z miasta do miasta, z kraju do kraju, z Europy do Azji, Afryki, a nawet czynione są próby przelotu z Europy do Ameryki. Samolot opanowuje coraz bardziej powietrze i wnet przyjdzie czas, że w wielu wypadkach zastąpi on zupełnie kolej, a nawet ją przewyższy, gdyż nie będzie potrzebował torów i ich obsługi. I dziś już dolatuje samolot tam, gdzie kolej dotrzeć nie może. Na naszym obrazku widzimy go wśród Indjan, którzy z całą powagą otaczają powietrznego kolosa.



MACIEK BZDURA GADA:

Jaka to bieda okrutecna, ze ino niftóre panienki mają dziecka. W nasy Psiej Wólce to ino co siódmą Poniezus obdarzył przychowkiem, a inkse, choć robią, co mogą, jakosik nicego docekać się dotychcas nie zdołały. Moze zima lepiej jem posłuzy, bo, jak powiadają, w lecie wskutek wielgaśnego gorąca kuzda robota na nic.

Takie załośne myśli przysły mi w zesłem tygodniu, jagem uwidział, ze szyćkie matki prowadziły dziecka do skoły i zal mi się zrobiło, ze kto inksy to se moze na taką przyjemność pozwolić, a ja bidna sirota nie i nie. Wiedły więc do skoły swoje pędraki i baby zeniate, i niewinne panienki, ino ja chudziasek nie miałem kogo powieść, bo mi Poniezus nie dał ani chłopaka, ani dzieuchy, choć już tyle roków gicalami po świecie włócę.

Jagem to zuźrał, to taka mnie wam załość rozebrała, ze siadem se na przypiecku, a ślipia pocęły mi same mokrzeć i woda pocęła ciurkiem po portasach kapać. Zuźreli to moja gospodyni i choć to baba twarda, ze jej nawet gróbarz uscypnąć nie da rady, ślitowali się nademną i padają grzecnie:

— I cegóz ty, mękalu, wyjes przy tem piecu?

— Jak ni mam wyć — rzeknę ja na to — kiedy Franek Pyrdek powiód do skoły dwoje dziecek, Rydzyna ośmioro, Jaśkowa troje, Polocka jedno, Wojtkowa cworo, Hanka wójtówna dwoje, Magda Zalesconka takze dwoje, a i inkse panienki choćby po jednemu, a ja bidny chudzina za tyle lat poniewierki i strapacyje nie mogłem powieść ani jednego kudłaca.

— Dzis go! — na to gospodyni — jakześ chciał, zebyś w kawalirskim stanie dziecka miał i wiódł je do skoły? A widziałeś ty, zeby kiedy chłop miał dzieci?

Co prawda, to prawda, zem nie widział, ale jakby tak Poniezus chciał, toby się ulitował i choć niktóremu choć jakiego takiego smyrdaca dał, aby miał ukontentowanie. Jakbym, nieprzymirzając, ja takiego małego Maciusia miał, tobym go powiód do wpisu, a na kolendę wziąłbym gęś gospodyni, niechby se ta biedne profesurzysko choć gęsią ślipia otarło za te wszyćkie uciemiężenia, jakie ma z temi despetnikami bez cały rok. O jabym la prefesura nic nie załował i nie byłbym, jak te baby niktóre, co to przywiedzie do skoły štyry dziecek, a prefesurowi da na kolendę dwa jajka.

Mój mały Maciuś, jakbym go miał, musiałby się dobrze ucyć, aby kiedyś przy pomocy Bożej choćby na jakiego organistę się wydrapał. A jakby się nie chciał ucyć, to choćby i co dzień, zaglądałbym mu pod portcęta i takbym mu tam wylizał, zeby ruski miesiąc popamiętał.

Ale cóz, kiej gospodyni powiadają, ze chłopy dziecek nie mają, ino baby, boby jem nie mieli cem dawać ssać.

No dobrze! Ale cemu Kaśka Myrdalonka nie ma dziecek? Przecie ona do jedzenia jaz... jaz... i do roboty galanta, to i dziecka mieć powinna, bo i co do karmienia, to nie ino dziecko, ale cały reiment żołnierzy obdzielićby potrafiła. Chyba ino bez to ich ni ma, ze takie małe pędraki to przy robocie zawadzają, a ona cięgiem za zarobkami goni, to jej nijak do bawienia się odrywać. A moze być, ze i nie lubi dziecek!? Ja zasie, bo je lubię ogromnie i cięgiembym się z niemi ciaćkał, bo to takie milusieńkie, jak aniołki. A jakby mi które śnich pedziało: „tata", to la Boga, chybabym z własnej skóry wyskocył!

Kiedy juz na chłopów przysło takie pokaranie, ze dziecek nie mają, to ja, jak się kiedy ozenię; zaraz zapowiem swojej starej, zeby przynajmniej co dwa miesiące było dziecko, bo jak nie, to jej takie lanie sprawię, ze potem co tydzień będzie po dwa mnozyła. A wtedy, jak przyjdą zapisy do skoły, to nie jedno, albo dwa, ale całe półkopy ze sobą powiedę.



Maciej w stolicy.

(Humoreska).

Raz pan Maciej Sztelwaga,
Że był wielka powaga —
Stanął przed swą Maryną
I rzekł z poważną miną:
— Trza do miasta, a ino!
Taj Warsiawę trza zwiedzić,
Nie we wiosce tu siedzieć;
Trza na posła się wrobić,
Duchem, by się dorobić".
— „A dyć prawdę gadająm
Cosik we wiosce bajom,
Coś ty w całej gromadzie
Pirwsy we wsi na radzie".
— A ino ci, a ino!
Moja droga, Maryno;
I sam pisarz w Janówce
Bywał ze mną na mówcę:
Trza Warsiawę hań zwiedzić,
Trza tam krzynkę posiedzić,
Bo Warsiawa mudreńka
Cuda tam są, cudeńka:
Wozy przez kuni lecom,
Latarnije w noc świecom,
Pany wielkie i panie
Ino patrzyć się na nie,
Kaj sie zgrabnie kołysom.
Trza wziąść kobyłę łysom,
Bo ci droga daleka
Stara škapa kaleka,
Ta się zwolna pochapie.
Po drodze się pogapie,
Na chałupska škaradne,
Na wystawy paradne,
A któż tam ci policy
W tej to nasej stolicy!
Jedzie Maciej wesoło
I gapi się wokoło,
A że był też ostrożny,
Pyta się więc po drodze:
—. „Hej panie wielmozny!
Kaj sie posły gromadzom,
Co to w Warsiawie radzom,
Te ci posły co w sejmie!...
— Ta na Wiejskiej ulicy!
— Bardzo pięknie dziękuję!"
Capkę Maciej swą zdejmie
I na łysę wskakuje
I człapie przez stolicę.
Nagle, w pilnej potrzebie
Rozgląda się za siebie,
Rozgląda się dokoła,
Gdzieby jaka stodoła...
Lub płot jaki w ostatku,
Kołek — w nagłym wypadku!
Ni stodoły, ni płota —
Huknie: — A to robota,
Niech ich z takom Warsiawom
Co ci tu jest za prawo?
Nie ucepić škapiska
Do wsi droga nie bliska,
I co pocąć w tej drodze,
Kaj mi tak pilno srodze?

Aleksander Kuśnicki.

N. GOGOL.

Tłomacz. z rosyjskiego J. Gazda.

Soroczyński jarmark.

(Opowiadanie starego Kozaka.)

I.

Co za cudny i rozkoszny dzień letni w Małorosji! Co za znojne i gorące te godziny, kiedy południe błyszczy w ciszy i znoju, a błękitny niezmierzony ocean bezmiarnem sklepieniem rozdętem nad ziemią, zdaje się zasnął zatopiony w bezmiarze, i jakoby objął wszystką przyrodę w powietrznych objęciach swoich.

W górze ni obłoczka, na dole głucho — wszystko jakby zamarło, w błękicie niebieskim drży skowronek, wylewając swe srebrne pieśni, zniża się po powietrznych stopniach na ukochaną ziemię, a z rzadka krzyk czapli, lub donośny głos przepiórki rozlega się po stepie.

Spokojne, jakby bezmyślnie patrzące, stoją podobłoczne dęby, a olśniewające promienie słońca zapalają malownicze masy liści, i rzucają ciemne, jak noc cienie. W ogrodach, okolonych słonecznikami, mieniły się roje szmaragdowych, szafirowych i topazowych owoców — szare stogi siana i złote snopy zboża w stertach rozsiadły się po polach. Pod ciężarem owocu gną się gałęzie jabłoni, grusz i śliw — niebo, jak lustro, rzeka ujęta w ramy stromych brzegów... Oto wspaniałe lato w Małorosji.

Taki to był wspaniały jeden z dni sierpnia tysiąc osiemset... osiemset... zresztą trzydzieści lat temu, kiedy droga do Soroczyniec przepełniona była narodem na jakie dziesięć wiorst, spieszącem ze wszystkich okolicznych hutorów na jarmark, już od wczesnego ranka ciągnęły długiem szeregiem wozy czumaków ze solą, z rybami, góry garnków naładowanych w siano piętrzyły się na wozach różnobarwnie, — miejscami jaskrawo pomalowana miska lub makownica pyszniła się z naładowanego wozu i przyciągała wzrok miłośników krasoty. Wielu przechodniów spoglądało zazdrośnie na wysokiego garncarza, właściciela owych drogocenności, który szedłszy wolno za swym towarem, troskliwie obtykał sianem swych glinianych pupilów.

Samotnie opodal toczył się wóz ciągniony przez leniwe woły, zawalony worami, płótnem, i różnemi domowemi produktami, a obok niego podążał w płóciennej koszuli i zawalanych szarawarach jego gospodarz. Raz po razu ocierał rękawem pot z czoła, który kapał mu z długich włosów napudrowanych na biało przez owego fryzjera, który bez potrzeby — tak pięknych jakoteż brzydkich bieli na starsze lata już od niewiadomych tysięcy lat.

W szeregu za nim szła przywiązana do wozu kobyła — pokorny wygląd świadczył o podeszłym jej wieku.

Wielu napotkanych młodych parobków zdejmowało czapki, jednakowoż nie dla siwych włosów, albo poważnej osoby to czynili, wystarczyło tylko podnieść wzrok nieco wyżej, aby odgadnąć przyczynę takiej uprzejmości... na wozie siedziała śliczna córeczka owego starca z okrągłą twarzyczką, czarnemi jakoby tęcza zaokrąglonemi brwiami nad ciemnemi oczyma, z niewinnie uśmiechniętemi usteczkami. Na głowie miała różnokolorowe wstążeczki, które razem z dużymi warkoczami i bukietem polnych kwiatów tworzyły wdzięczną ozdobę jej czarnej główki. Widać wszystko ją zajmowało i było czemś nowem, gdyż piękne jej oczka biegały z przedmiotu na przedmiot! Jakżeż nie miała być ciekawą, kiedy w ośmnastym roku życia udawała się pierwszy raz na jarmark!

Tak jeźdźcy jak i piesi dziwili się tylko, w jaki sposób udało się zabrać staremu córkę na jarmark, a właściwie uzyskać na to zgodę macochy, która trzymała go tak krótko, jak on swoją kobyłę, wlokącą się za wozem, ażeby za jej długą służbę została sprzedana na jarmarku.

Nieznośna małżonka... Trzeba dodać, że i ona siedziała na tymże wozie, w odświętnej wełnianej jubce, na której jakoby na gronostajowem futerku były naszyte ogonki czerwonego koloru, w bogatej chustce kraciastej, niby szachownica, i w perkalowym barwnym czepku, który nadawał poważny wygląd jej rumianej i pełnej twarzy. Wygląd baby nie bardzo był przyjemny, a poniekąd tak srogi, że każdy przenosił zaraz swój strwożony wzrok na wesołą twarzyczkę córki.

Wkrótce oczom naszych podróżnych ukazała się rzeka Psiel, już zdala dochodził od niej chłód, który był pożądany po silnie nużącym upale. Przez ciemno i jasno-zielone liście iw i topoli ukazała się rzeka, która prawie co roku zmieniała swoje koryto, wybierając nowe widoki i inne okolice. Szeregi młynów zabierało na ciężkie swe koła potężne jej fale i z siłą rzucały w dal, sypały bryzgami i pyłem wodnym, napełniając szumem okolicę.

Wóz ze znanemi nam już pasażerami wjechał na most, a rzeka cała w swej potędze i krasocie ukazała się przed nimi jako zwierciadło. Niebo, zielone i sine lasy, ludzie, wozy z garnkami, młyny, — wszystko przewróciło się do góry nogami — nie wpadając jednak w bezdenną głębinę.

Krasawica nasza, widząc rozkoszny widok zadumała się zapominając o jedzeniu ziarnek słonecznika — co czyniła przez całą drogę.

Wtem posłyszała słowa: „Aj co za dziewczyna!“ które obiły się o jej uszy. Obejrzawszy się, zobaczyła gromadkę stojących na moście parobków, pomiędzy którymi jeden wyróżniał się strojniejszą odzieżą. Był w białej świtce, w szarej czapce z drobnego futerka. Ująwszy się za boki zawadjacko, popatrzył na przejeżdżających. Dziewczyna zauważyła jego ogorzałe jednak miłe oblicze i ogniste oczy, które jakoby ją chciały przejrzeć na wylot. Przypuszczając, że słowa



— Ale cóż kiedy tam na przedzie sam djabeł siedzi — dodał.

pochwały do niej się odnoszą, zarumieniła się, kieby wiśnia.

— Śliczna dziewczyna! — mówił dalej parobek w białej świtce, patrząc na nią stale — oddałbym chętnie całe swe gospodarstwo za jej pocałunek. — Ale cóż, kiedy tam na przedzie sam djabeł siedzi — dodał, wskazując na macochę.

Ze wszystkich stron rozległ się śmiech, który wystrojonej towarzyszce idącego obok małżonka nie bardzo się spodobał. Czerwone jej policzki rozogniły się, i grom najgorszych słów spadł deszczem obfitym na głowę śmiałego parobka.

— Ażeby cię zadławiło! niegodny burłaku jakiś! Ażeby twojego ojca garczkiem w łeb stuknęło! Ażebyś się na lodzie pośliznął, antychryście przeklęty! Ażeby ci na tamtym świecie djabli brodę opalili!...

— Widzicie ją! Jak ona to potrafi kląć! — oburzył się napadnięty parobek — że też tę stuletnią wiedźmę język nie zaboli przy takich paskudnych słowach!

— Stuletniej! — podchwyciła podżyła piękność — brudasie, idź się wpierw umyj, oberwańcze niegodny! Nie znam twojej matki, jednak wiem, że była podła, twój ojciec podły, twoja ciotka szmata!... Stuletniej... a mleko jeszcze na wargach u smarkacza!...

Wtem wóz zaczął zjeżdżać z mostu, i ostatnich słów nie można było zrozumieć, jednak parobek, jak widać nie chciał na tem skończyć, bo nie namyślając się, porwał nawozu końskiego i rzucił za nią. Rzut był nadspodziewanie celny: cały nowy perkalowy czepek był obryzgany brudem, a śmiech ze wszystkich stron rozległ się z podwójną siłą. Dorodna pyskatka zakipiała nowym gniewem, jednak wóz za ten czas odjechał już dość daleko, więc zemsta jej zwróciła się na niewinną sierotę i powolnego męża, który już oddawna przywykł do podobnych scen, podczas których uporczywie milczał i z zimną krwią słuchał przeklinania rozindyczonej małżonki. Ta zaś, nie zważając na to, trajkotała językiem dotąd, póki nie dojechali do przedmieścia, do starego znajomego i kuma Kozaka Cebuli. Spotkanie kumów, którzy się dawno nie widzieli, wypędziło na pewien czas z głowy przed chwilą zaszłe zdarzenie.

Teraz trzeba było pomówić o jarmarku i odpocząć po dalekiej podróży.

II.

Kto słyszał gdzieś z oddalenia grzmiący wodospad, kiedy strwożoną okolicę napełnia szum i huk nieznanych dźwięków niesionych wiatrem wokoło, tego opanowują te same uczucia w wirze małomiasteczkowego jarmarku, kiedy tłumy narodu zrastają się w jedną olbrzymią masę, poruszającą się swoim tułowiem na rynku i ciasnych ulicach, która krzyczy, chichocze i grzmi? — Szum, kłótnia, ryk, beczenie, kwiczenie, — wszystko to razem zlewa się w jeden niestrojny głos. Woły, worki, siano, cyganie, garnki, pierniki, baby, czapki, wszystko pstre, niezestrojone ze sobą, snuje się kupami przed oczyma. Różnorodne języki głuszą się wzajemnie, że żadne słowo nie wyrwie się jasno z tego potopu i żaden krzyk nie jest zrozumiały, — tylko klepanie w dłonie kupców i kupujących słychać ze wszystkich stron jarmarku. Tu łamie się wóz, tam dzwoni żelazo, gdzieś ogłuszający stuk zrzucnych z wozu desek, wkońcu zakręci się głowa i nie wiadomo, gdzie się obrócić.

Przyjechawszy nasz chłopina z czarnobrewą córeczką na ów jarmark, już oddawna przeciskał się między natłokiem narodu. Przechodząc około czyjegoś wozu, obmacał towar, około drugiego zainteresował się ceną towaru, a między tem jego myśli były przy owych dziesięciu workach pszenicy i starej kobyle, z któremi przybył na jarmark. Z oblicza jego córki widać było, że jej nie było bardzo przyjemnie obcierać się około wozów z pszenicą, mąką, ona by wolała tam ku tym kramom obficie obwieszonym barwnemi wstążkami, koralami, miedzianymi i cynowymi krzyżykami — jednak i tutaj znalazła sobie wiele przedmiotów do zaobserwowania; naprzykład: cieszyło ją nadzwyczaj to, jak cygani, targując się z chłopem, bili tak silnie w dłonie, że krzykali od bólu, jak pijany żyd dawał babie „kisiela“, albo jak przekupki, pokłóciwszy się, obrzucały się zgniłemi owocami, lub jak Moskal, gładząc jedną ręką swoją koźlą brodę, drugą...

Wtem poczuła, jak ją ktoś pociągnął za wyszywany rękaw koszuli. Patrzy za siebie, a tu parobek w białej świtce z bystremi oczyma stał przed nią. Wszystkie żyłki w niej zadrżały i serce zatłukło się, jak nigdy dotąd ni przy radości — ni przy żadnem nieszczęściu — i cudnie miło jej się zrobiło, że sama nie umiała sobie tego wytłumaczyć, co się z nią stało.

— Nie bój się, serdeńko, nie bój się! — przemówił do niej półgłosem i ujął ją za rękę. — Ja tobie nic złego nie powiem!

— Może być, że mi ty nic złego nie powiesz — pomyślała sobie dziewczyna — ale mnie jakoś tak dziwnie... przecież tak nie wypada...

A jednak brakło jej siły cofnąć rękę od niego.

Ojciec jej, oglądnąwszy się, chciał coś powiedzieć do córki; jednak w ten moment usłyszał słowo „Pszenica“.

To magiczne słowo zwróciło całą jego uwagę, i skierowało go do głośno rozmawiających dwu chłopów. Jego przygwożdżonej uwagi nicby nie zdołało teraz oderwać od interesu. Myślał już jedynie o tem, co mówili kupcy o pszenicy.

III.

— Jak ty myślisz, sąsiedzie, zdaje się, że nasza pszenica źle pójdzie? — mówił człowiek, który wyglądał na przyjezdnego mieszczanina, obywatela jakiegoś miasteczka, w pstrych dziegciem zawalanych i zatłuszczonych szarawarach, — do drugiego w siwej świtce już połatanej i z ogromnym guzem na czole.

— Niema nawet o czem myśleć: Ja gotów jestem zarzucić sobie pętlę na szyję, i kołysać się na tamtem drzewie, jak kiełbasa w chacie przed Bożem Narodzeniem, jeśli my choć miarkę sprzedamy.

— Kogóż ty sąsiedzie ćmisz? Dowozu, oprócz naszego wcale niema — odrzekł człowiek w pstrych szarawarach.

— Mówcie sobie, co chcecie — pomyślał sobie ojciec naszej dziewczyny, nie opuszczając ni słowa z rozmowy dwóch kupców — a jednak mam dziesięć worów na wozie do sprzedania.

— Otóż to i jest, że gdzie się zagnieździ djabeł, tam się spodziewaj tyle pożytku, ile od głodnego Moskala — rzekł znacząco człowiek z guzem na czole.

— Jaki djabeł? — podchwycił człowiek w pstrych szarawarach.

— Słyszałeś ty co pobąkują między narodem? — ciągnął dalej człowiek z guzem na czole, kierując na niego z ukosa swój ponury wzrok.

— No!?

— No, tak no! — burmistrz — bodajby już nie zdążył więcej obcierać swego pyska po piciu pańskiej śliwowicy — wyznaczył na targ przeklęte miejsce,

gdzie choć pęknij ni ziarna nie sprzedasz. Widzisz tam tę starą szopę, walącą się, która ot tam! tam! stoi pod górą (Tutaj ojcec naszej krasawicy przysunął się jeszcze bliżej, i skupił całą uwagę na to, co mówią ci dwaj) — w tej szopie całe nieszczęście, że w niej prowadzą się djable sztuczki, i żaden jarmark nie obejdzie się bez nieszczęścia. Otóż wczoraj gminny pisarz, przechodząc późno wieczorem, ledwo spojrzał w okienko, zobaczył w niem świński ryj, który tak charknął, że mróz przeszedł po jego skórze. Tylko czekać, jak się pokaże *czerwona świtka.*

— A cóż to takiego ta *czerwona świtka?*

Wystraszony chłopina nie mógł już dalej słuchać tej rozmowy. Włosy stanęły mu na głowie, więc powrócił czemprędzej do swego wozu, gdzie zobaczył, jak jego córeczka i parobek, spokojnie objąwszy się, stali i śpiewali sobie nawzajem jakieś miłosne piosenki. Zobaczywszy to, zapomniał o wszystkich na świecie *czerwonych świtkach* — rozegnało to jego poprzedni strach, i doprowadziło go do równowagi.

— He, he, he! — zawołał ojciec — jak ja widzę, to ty majster do uścisków! bo ja dopiero na czwarty dzień po ślubie nauczyłem się obejmować swoją nieboszczkę Hweśkę, i to tylko dzięki mojemu kumowi, który będąc blizkim kolegą, nauczył mnie tej sztuki.

Parobek spostrzegł, że ojciec jego kochanej nie taki straszny, zaczął więc snuć w myśli plany, jakby go skłonić na swoją stronę.

— Z was, jak widzę, dobry człowiek — wy mnie nie znacie, a ja was zaraz poznałem.

— A może i poznał.

— Jeżeli chcecie, to i imię i nazwisko, i cały rodowód wam zaraz opowiem. Wy nazywacie się Sołopiej Czerewik.

— Tak Sołopiej Czerewik.

— A popatrzcie no się dobrze, nie poznajecie mnie?

— Nie, nie poznaję! — Nie gniewaj się, ale jak to mówią „przez wiek tyle się widziało gęb, że djabeł ich tam zapamięta".

— Szkoda, że sobie nie przypominacie syna Gołopupkowego.

— A, ty zdaje się syn Ochryma?

— A któżby inny (czy to jednemu psu burek), jeżeli nie on.

Tutaj przyjaciele nasi wzięli się w objęcia, i zaczęli powitanie pocałunkami, jednak syn Gołopupkowa, nie tracąc czasu postanowił zaraz osiodłać swego nowego znajomego.

— Otóż, jak widzicie Sołopiej — ja i wasza córeczka pokochaliśmy się tak, że choćby na wieki żyć razem.

— Cóż ty na to, Paraska? — zapytał Czerewik, obracając się z uśmiechem do swojej córki — możeby i w samej rzeczy, ażeby, jak to mówią, razem tego... żebyście się paśli na jednej łące! Więc co? dobić targu? a nuże młody zięciu! pokaż, co potrafisz.

I wszyscy troje znaleźli się w znanym jarmarcznym szynku pod jatką u żydówki, zastawionym całą flotą butelek, flaszek, kieliszków i wszelkiego rodzaju przynęt.

— O dzielny chłop! — mówił Czerewik, kiedy trochę podchmielił, widząc jak przyszły zięć nalał półkwartowy kubek, i nawet się nie skrzywiwszy, wypił do dna, a następnie rozbił go w kawałki. — Co powiesz na to Paraska? Jakiego ci to ja chłopa znalazł, — popatrz jak ci on znakomicie duje siwuchę.

I w wesołem usposobieniu podążył z córką do swego wozu, a parobek poszedł między szeregi kramów, gdzie byli kupcy aże z Gadjacza i Mirgoroda, dwu znamienitych miast Połtawskiej gubernjj, — ażeby wypatrzeć gdzie ładniejszą fajkę drewnianą w mosiężnej oprawie, kwiecistą z czerwonem tłem chusteczkę, i czapkę jako podarunki ślubne dla teścia i komu się należy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z podań ludowych o św. Urbanie.

Dwadzieścia sześć kilometrów, na południe od powiatowego miasta Brzeska, w górkiej okolicy, w rozległej kotlinie leży wioska Iwkowa. Domy wybudowane dwoma rzędami ciągną się blisko mili, środkiem prowadzi droga oraz rzeka zwana Bela. Dokoła wioski wznoszą się góry pokryte drzewami szpilkowemi. U podnóża tychże gór z północnej strony stoi mała kaplica wymurowana z kamienia, kryta gontem, w rogu jej rośnie drzewo pospolicie zwane grabem, które swemi gałęziami okrywa i chroni kaplicę przed wichrami i burzami. Pamięta ono bardzo dawne czasy, pień jego wypruchniały z śladami ran zadanych ręką ludzką.

Kilka kroków od owego drzewa wytryska źródełko, woda zamieniając się w potok płynie w dół sprawiając miły szum. Wnętrze kaplicy nie przedstawia nic nadzwyczajnego. W ołtarzu mieści się obraz rzeźbiony w drzewie niebardzo wprawną ręką, przedstawiający biskupa. Z lewej strony stoi statua Madonny z odtrąconą głową, na środku mały krzyż oraz dwa szczerniałe lichtarze, w rogu wykuta w kamieniu skarbona, w której mrówki mają schronienie, pod ścianą ława, oto całe urządzenie kaplicy.

Ale posłuchajmy, jakie ma ona znaczenie. W dawnych czasach, gdzie dzisiaj ciągną się uprawne pola, poprzerzynane gęsto miedzami, szumiały drzewa liściaste zwane iwiną, od których to drzew wioska otrzymała swoją nazwę. Chaty ówczesnych mieszkańców, jak ślady wskazują, były budowane na wzgórzach, gdyż doliną teren był mokry, bagnisty. Niewiele wtedy było mieszkańców, bo ziemia jałowa nie wabiła do siebie. Teren zaludniony został dopiero przez jeńców wojennych, których wysyłano w te okolice, gdyż one należały do Królewszczyzny. Jeńcy owi, osiedlając się, trudnili się więcej hodowlą owiec i bydła, bo traw było pod dostatkiem, niż uprawą roli, którą trza było dopiero karczować z drzew olbrzymich, ponieważ nieznaną im była dzisiejsza kultura, a ziemia, w połowie piaszczysta i do tego źle uprawiona, liche wydawała plony.

Mały kawałek koło chaty wystarczał na zasianie owsem i innemi roślinami, ponieważ ziemniaki wtedy były jeszcze nieznane. Gdy powiększyła się liczba mieszkańców, wybudowany został kościółek raczej kaplica w miejscu, gdzie dzisiaj stoi kościół parafjalny.

W tych to dawnych czasach u podnóża góry z północnej strony, gdzie dzisiaj stoi wyżej opisana kaplica, mieszkał świątobliwy pustelnik imieniem Urban. Podobno przeszedł on od Węgier z krajów słowiańskich z dwoma braćmi, Justem, który obrał sobie mieszkanie w odległości jakie piętnaście kilometrów na południowy wschód. A drugi brat imieniem Sierad osiedlił się w okolicy zwanej dzisiaj Tropie.

Ów pustelnik Urban uplótł z chrustu pod owym grabem szałas, który go chronił przed dzikiem zwierzem. Podczas ciepłej pory roku przebywał w owym szałasie, żywiąc się grzybami, orzechami i różnymi

korzonkami, za napój służyła mu woda z źródełka, oddalonego o jakie pięć kroków od jego mieszkania. Zimą udawał się do lepianek ówczesnych mieszkańców opowiadając o Bogu i uczył katechizmu, a jego świątobliwość słynęła bardzo daleko, bo jak starzy ludzie mówią, doszła aż do Rzymu. A że w ówczesnym czasie opróżniona została stolica Piotrowa, powołano na nią owego świątobliwego pustelnika. Jak długo zasiadał na stolicy Piotrowej nie mogłem się dowiedzieć, dość, że po jego śmierci poczęły się dziać nadzwyczajne rzeczy, bo oto pewnej nocy wielka jasność ukazała się pod ową górą, gdzie mieszkał ów pustelnik. Ludzie zdumieli się i przestraszyli, coby to być mogło. Zebrało się kilku śmielszych, po dłuższej naradzie udali się do owej pustelni, a oczom ich przedstawił się prześliczny widok. Na drzewie, przy którem było mieszkanie pustelnika, ujrzeli obraz promieniejący blaskiem, przedstawiający owego pustelnika w odzieniu biskupiem. Olśnieni takim widokiem nie wiedzeli, co począć.

Wieść o cudownem zjawieniu się obrazu lotem błyskawicy obiegła pobliższe okolice. A ludność z sąsiedniej parafji postanowiła zabrać obraz do siebie.

Udano się w procesji, zdjęto obraz z owego drzewa i przeniesiono go do tamtejszego kościoła, lecz w nocy znów widziano ową jasność nad pustelnią. Lecz jakież zdziwienie ogarnęło służbę kościelną, gdy rano po odemknięciu kościoła obrazu nie było. Zdziwieni i przestraszeni udali się po raz wtóry, zabierając znów ów obraz i umieszczając go w tymże samym kościele, a inni równocześnie zajęli się ścięciem owego drzewa, na którem znaleziono obraz.

Lecz stał się cud, bo oto za uderzeniem ostrza siekier z ran drzewa trysnęła krew. Przejęci strachem i trwogą, uciekali co sił z onej pustelni. A rany zadane siekierami można i dzisiaj oglądać. W nocy znów obraz zjawił się na tymże samem drzewie. Ludność tutejsza, będąc świadkiem tych rzeczy, widząc wolę świętego, wybudowała na onem miejscu na wzór owego szałasu, w którym mieszkał ów pustelnik za życia trójkątną drewnianą kapliczkę i umieściła w niej ów św. obraz, który zaczął słynąć cudami na całą okolicę. Woda z owego źródełka, z którego św. czerpał za życia, płynąc w dół, sprawiała miły szum, który słychać było na pół mili wokoło. Szumem swym ściągała liczne pielgrzymki. Używając tej wody z wiarą, niemocni przychodzili do zdrowia; woda ta zaczerpnięta w źródełku, stawała się cudowną, goiła rany, leczyła bolejące oczy, to też używano jej na wszystkie cierpienia, w których przynosiła ulgę. Poczęło słynąć owe miejsce na całą zachodnią Małopolskę. Lud nawiedzony jaką klęską, czy posuchą, czy morowem powietrzem, udawał się do owego miejsca, prosząc św. Urbana o wstawiennictwo do Boga za uciśnionym ludem i nie było wypadku, żeby prośba nie była wysłuchaną, to też lud szanował i czcił owo św. miejsce.

Drzewo na którem znaleziono obraz, było prawie świętem. Więc rok rocznie w drugi dzień Zielonych świąt udawano się tam w uroczystej procesji i odprawiano tam nieszpory z kazaniem.

Z biegiem czasu kaplica drewniana spruchniała, na jej miejsce wystawiono murowaną, która do dziś dnia stoi. Źródełko omurowano kamieniem, lecz woda już dzisiaj niema tej cudownej mocy, ponieważ została sprofanowaną.

Pewien pan, mając psa, który uległ parchom, postanowił go uleczyć. Udał się więc do owego św. miejsca, zanurzył swego kochanego pieska w owem źródełku. Pies został uleczony, lecz woda straciła ten piękny szum, który wabił ludzi zdaleka, oraz moc cudowną, chociaż i dzisiaj tak miejscowi jak i okoliczni meszkańcy przypisują jej moc leczniczą.

Zmieniały się czasy, zmieniali się i ludzie. Młode pokolenia, które następowały nie miały już tej wiary, co ich praojcowie. Znikła dawna pobożność, a jej miejsce zajęła obojętność. Owo uświęcone miejsce poszłoby w zapomnienie, gdyby nie wypadek ubiegłego roku, który obudził tutejszych mieszkańców z odrętwienia. Gdy niebo jasne, od kilku tygodni słońce prażyło niemiłosiernie, rośliny poczęły wysychać, ludność opanowała rozpacz, gdyż groził jej głód. Wówczas przypomnieli sobie starzy ludzie o św. pustelniku Urbanie. Wtedy udali się wraz z tutejszym księdzem kanonikiem do owego już zapomnianego miejsca, jakoż wstawiennictwo tego świętego okazało się wprost cudowne. Zaledwie lud powrócił do domów, niebo jasne zachmurzyło się i spadł deszcz rzęsisty na spragnioną ziemię, ratując już ginące od suszy rośliny.

Ludność tutejsza wierzy w to święcie, że za sprawą tego świętego uratowaną została od klęski nieurodzaju. Gdziekolwiek kogo spotkałeś z mieszkańców tutejszej wioski, mówili jaki to ten święty Urbanek cudowny, gdyż go tak nazywają.

A teraz posłuchajmy, jakie krążą podania wśród tutejszej ludności o tem cudownem miejscu. Otóż przy owej kaplicy ma być wielki skarb.

Opowiadają, że gdy doszła wieść o pierwszym najeździe mongolskiej dziczy na Europę, OO. Jezuici w Krakowie załadowali trzy wielkie skrzynie złotemi i srebrnemi naczyniami, aby je tu przywieźć i ukryć przed najeźdźcą.

Zacni Ojcowie zawieźli owe skarby ku tej kaplicy i tam je zachowano w jakiejś rozpadlinie, przysypując kamieniami. Świadkowie tego zginęli w ówczesnej zawierusze. Jak starzy ludzie o tem mówią, ma to być zapisane w kronikach klasztornych, ale gdzie te skarby zachowane, nikt tego nie wie. Znaleźli się śmałkowie, którzy przy pomocy sił tajemniczych chcieli je odnaleść, udali się w nocy do owej pustelni, odmawiając jakieś czarodziejskie zaklęcia. Nagle powstał straszny szum, huk, grzmot, zdawało się im, że cała góra się wali na nich. Usłyszeli krzyk straszliwy, gwizd, śmiech szatański, więc przerażeni ledwie z życiem uszli. Potem już nikt nie kusił się o odkrycie skarbów.

Inne podanie jest następujące. Gospodarz mieszkający na tym gruncie, na którym stoi kaplica, był bardzo pobożnym człowiekiem. Modląc się do tegoż św. pustelnika, pewnej nocy miał następujący sen:

Zdawało mu się, że klęcząc, jak zawsze, w owej kaplicy przed obrazem tegoż świętego, słyszy taki głos: „Za twą wierną służbę Bogu uczynię ci życie znośniejsze na tej ziemi, odkryję ci skarb, ale masz go używać tylko na to, co ci potrzebne do życia, ale nigdy na pijaństwo i taniec. Zbudziwszy się rano, udał się na owo miejsce, które miał objaśnione we śnie, ujrzał z ziemi sterczący kruszec niby kawałek gromnicy. Wziąwszy kamień, trącił nim w ów kruszec, który, odpadając od nasady, wydał miły dźwięk. Przyniósł go do domu, gdzie okazało się, że to było szczere złoto. Ile razy wyczerpały się pieniądze, za otrzymany kruszec, udawał się na ono miejsce i zawsze znajdywał się w takim stanie, jak go pierwszy raz znalazł.

Żył sobie dostatnie ów gospodarz, używając owego skarbu z umiarkowaniem. Dożył późnej starości,

a umierając, zwierzył swą tajemnicę swemu synowi, zalecając mu wszystkie przestrogi, jakie otrzymał we śnie. Syn z początku ściśle przestrzegał przestróg ojcowskich. Ale widząc odrastający kruszec, wnet o nich zapomniał. Mówiąc sobie: Jak mi braknie, to sobie przyniosę, zaczął pić i tańczyć, wreszcie wydał pieniądze, jakie otrzymał za sprzedany kruszec. Udał się znów po nowy zapas lecz jakże się zdziwił, gdy skarbu już nie znalazł. Daremne były poszukiwania, skarbu już nie było. Wtenczas poznał swoją głupotę, że nie słuchał przestróg umierającego ojca, ale było już zapóźno.

Kochani czytelnicy, czytając to, będziecie się uśmiechać, ale tutejsi starzy ludzie wierzą w to święcie, że to tak było. *Stefan Karwald.*



Poradnik gospodarczy.

Czyszczenie plam.

Najwięcej rozpowszechnionym środkiem dla czyszczenia plam jest benzyna. Nie bez podstaw nawet można twierdzić, że większa część specyfików płynnych, sprzedawanych dla tego celu, zawiera jako główny składnik benzynę. Mimo to nie jest ta ostatnia rzeczywiście uniwersalnym i najlepszym środkiem, gdyż powoduje bardzo często lekką zmianę barwy całej tkaniny i brudne obwódki wokoło zwilżonych miejsc i jest pozatem bardzo niebezpieczną. Działanie czyszczące benzyny polega na jej zdolności rozpuszczania tłuszczu, oraz szeregu innych substancyj, które trafiając na materjał, wywołują plamy. Jak już mówiliśmy, benzyna ma właściwość pozostawiania brudnych obwódek, które tworzą się z tego powodu, że ta lekka ciecz pełznie łatwo po włosach tkaniny, niosąc ze sobą cząstki rozpuszczalnego brudu, który wreszcie osiada na brzegach zwilżonego miejsca. Dla uniknięcia tych przykrych zjawisk ubocznych, przeprowadzać czyszczenie benzyną należy następującym sposobem: Poplamioną rzecz rozkłada się na stole na kawałku czystego, złożonego parokrotnie i miękkiego płótna, potem nabiera się na płatek dość dużą ilość benzyny i zwilża się nią tkaninę dokoła plamy, poczem dopiero zaczynamy czyścić zabrudzone miejsce, dbając o to, ażeby zanieczyszczona benzyna nie rozpływała się szeroko, lecz wsiąkała w podłożony płat. Pocieranie należy wykonywać ostrożnie, ażeby nie zniszczyć apretury, a po usunięciu plamy trzeba wilgotne miejsce podsuszyć nieco, przyciskając doń czysty płatek. Jeżeli plama jest bardzo tłusta i duża, trzeba w czasie czyszczenia kilka razy zmieniać płatek, gdyż inaczej nagromadzony na nim brud rozpłynie się po całem wilgotnem miejscu. Gdyby na tkaninie mimo wszystko pozostała brudna obwódka, można ją nieraz usunąć po wyschnięciu przez lekkie zmycie mydlaną wodą, lub, jeżeli mamy do czynienia z jedwabiem, możemy czyszczone miejsce posypać drobnym proszkiem czystego gipsu, który ma właściwość wchłaniania w siebie tłuszczu. Po pewnym czasie gips trzeba usunąć przez zeszczotkowanie.

Czyszczenie różnych plam jest najtrudniejsze na jedwabiu, o którym przed chwilą mówiliśmy, dlatego też, jeżeli nie chcemy zniszczyć całej sztuki, należy najpierw popróbować na jakimś skrawku, czy benzyna nie powoduje blednięcia deseniu, a dopiero potem przystępować do czyszczenia całości.

Prócz benzyny możemy też z powodzeniem użyć jej mieszaniny ze spirytusem, gdyż ten ostatni ma znów właściwość rozpuszczania substancyj, na które benzyna nie działa. Jeszcze lepiej, niż benzyna i alkohol, działa siarczek węgla, który najmniej niszczy kolorowe desenie i nigdy nie pozostawia brudnych obwódek. Z tego względu należy go specjalnie polecić dla czyszczenia jedwabiu, oraz innych kosztownych tkanin. Czyszczenie siarczkiem węgla należy wykonywać następującym sposobem: Jak dla benzyny tkaninę rozkłada się na stole na kawałku miękkiego i czystego płata, potem szybko i lekko przeciera się siarczkiem węgla. Ponieważ ten ostatni jest wyjątkowo lotny, paruje on szybko z płatka, tak, że w czasie czyszczenia trzeba nieraz kilkakrotnie uciekać się do ponownego zwilżania plamy.

Prócz rozpuszczalników dobrze bardzo usuwa tłuszcz drobny pył magnezowy, który należy lekko zwilżyć benzyną i położyć na plamie.

Na zakończenie musimy ostrzec przed czyszczeniem tkanin w pobliżu ognia, gdyż wszystkie prawie środki, używane do tego są bardzo lotne i łatwopalne i z tego powodu mogą być bardzo nawet niebezpieczne przy najmniejszej nieostrożności.

Poradnik lekarski.

Czerwonka. Jest to choroba zaraźliwa. Można jej się jednak nabawić i bez zarażenia wskutek nagłej zmiany temperatury, złego pożywienia lub zepsutej wody. Objawia się brakiem apetytu, bólem głowy, gorączką, a potem śluzowo-krwawą biegunką z nieznośnem parciem. Najlepszym środkiem leczniczym jest ścisła djeta: kleiki i herbata z ziółek, oraz leżenie w łóżku. Na brzuch należy dawać ciepłe okłady z siana, gorącej wody, z suchych rozgrzanych prześcieradeł i t. p. Nawet po wyzdrowieniu należy czas dłuższy zachować ścisłą djetę, aby nie dopuścić do powrotu choroby.

Czkawka nie jest chorobą, ale występuje często u osób nerwowych. Kiedy człowieka napadnie czkawka, powinien pić po łyku zimnej wody z cukrem lub sokiem cytrynowym, wyciągnąć język i tak chodzić, płukać gardło wodą z miodem. U dzieci czkawka występuje często z powodu przeziębienia. Dać dziecku trochę miałkiego cukru, rumianku lub kwiatu lipowego, a czkawka wkrótce ustąpi. Gdyby to nie pomogło, należy robić okłady na brzuchu lub włożyć dziecko do ciepłej kąpieli.

Brodawki piersiowe. Często u kobiet karmiących tworzą się na piersiach bolesne brodawki. Przyczyny są najrozmaitsze. Jeżeli rozpadliny na brodawkach ulegną zanieczyszczeniu, może powstać bardzo bolesne ropne zapalenie, kończące się albo samoistnem przebiciem ropy na zewnątrz, albo operacją. Aby zapobiec tworzeniu się brodawek, należy już podczas ciąży wzmacniać pierś, obmywając brodawki spirytusem z wodą i smarować mieszaniną śmietanki z białkiem, lub samem białkiem. Jeżeli mimo wszystko wytworzą się bolesne rozpadliny, należy dziecko natychmiast od piersi odłączyć, co już najczęściej do wyleczenia wystarczy.

KRONIKA.

Od Redakcji. W następnym numerze „Roli“ rozpoczynamy z powrotem druk „Podróży po dalekich krajach“, które w tak wysokim stopniu zainteresowały naszych Czytelników. Przez czas przerwy zgromadziliśmy mnóstwo pięknych ilustracyj i przygotowali do nich opisy, nie szczędząc trudów ani kosztów, aby dać tylko rzeczy naprawdę ładne i interesujące. Sądzimy, że Czytelnicy wznowienie to powitają z zadowoleniem, gdy przekonają się o wysokiej wartości owego cyklu.

Administracja „Roli“ zawiadamia wszystkich Czytelników, że wysyłka „Roli“ odbywa się we czwartki w południe i w bliższych województwach w piątki każdy otrzymać powinien. Jeżeli otrzymują później to wina jest zazwyczaj urzędu gminnego. Toteż prosimy Czytelników, aby przedewszystkiem sami domagali się rychłego doręczania, a gdy to nie pomoże, odnosili się do Administracji, która następnie wniesie skargę do odnośnego starostwa. Kto chce czytać „Rolę“, to niech sobie kupi, względnie zaprenumeruje a niech drugiemu nie zatrzymuje i nie niszczy.

Pomyłka druku. Jak to już sami Czytelnicy zauważyli, w poprzednim numerze „Roli“ wkradła się w części nakładu niemiła pomyłka druku. Oto w powieści „Wydziedziczona“ pod obrazkiem zamiast słów: „Zwierz popędził jak strzała pośród jasnej nocy“ umieszczono (Ciąg dalszy nastąpi).

Bunt więźniów w Rzeszowie. W ubiegłym tygodniu w więzieniu okręgowego sądu karnego w Rzeszowie wybuchł bunt więźniów. Mianowicie w więzieniu śledczem przebywa tam od kilku dni niejaki Jan Fronczak, liczący 25 lat, z Rakszawy koło Łańcuta, pod zarzutem zbrodni rabunku. On to zdołał porozumieć się z innymi więźniami, aby wywołać bunt, który doprowadziłby do masowej ucieczki uwięzionych. Według umowy począł on demolować własną celę, co miało być sygnałem dla innych więźniów do omówionego działania czynnego. Gdy w celach więźniowie poczęli krzyczeć i dobijać się do drzwi, zawezwano natychmiast policję. Do gmachu wkroczył silny oddział policjantów. Fronczaka ujęto i nałożono nań kaftan bezpieczeństwa, poczem umieszczono go w celi suterenowej. Mimo to inni więźniowie dalej awanturowali, jednak wobec policji byli bezsilni. Ponieważ drugi więzień Herman Maszel, liczący 28 lat, z Krakowa dalej awanturował i niszczył urządzenie celi, a nadto zachęcał innych do czynnego oporu, przeto również i jego ubrano w kaftan bezpieczeństwa. Dopiero po dłuższym czasie udało się dozorcom i policjantom przywrócić w gmachu spokój.

Burza we Lwowie. W ubiegły piątek wieczorem przeciągnęła nad Lwowem burza z grzmotami i piorunami. Jeden z piorunów uderzył w elektrownię miejską, wskutek czego wszystkie światła elektryczne w mieście zgasły, a tramwaje momentalnie stanęły. Zostały też zerwane połączenia telefoniczne z Krakowem i Warszawą.

Ujęcie groźnego bandyty. Od paru lat cała Huculszczyzna drżała przed śmiałym i okrutnym bandytą Wasylem Iwaniukiem, który popadłszy raz w zatarg z prawem, poszedł śladami legendarnego zbójnika Dobosza i nękał spokojną ludność coraz to bezczelniejszymi napadami. Iwaniuka poróżnił z prawem drobny wypadek sąsiedzki spór o miedzę. Parobka, który w sądzie zeznawał niekorzystnie dla niego, zastrzelił, poczem w obawie kary uciekł w góry. Rodzina zaopatrywała zbiega w żywność, a w pierwszym rzędzie opiekowała się nim jego żona młoda i piękna Hucułka. Z początku Iwaniuk żył spokojnie w gąszczach leśnych. Jednak po upływie paru miesięcy zwyciężył w nim instynkt zbójnicki i Iwaniuk stał się nałogowym zbrodniarzem. Napadał znienacka na osiedla ludzkie, rabował żywność i pieniądze oraz bestjalsko znęcał się nad bezbronnemi kobietami, Współczesny Dobosz uzbroił się od stóp do głowy. Za pasem miał 2 sztylety myśliwskie, 2 rewolwery i kilka granatów ręcznych, z ramienia zwisał mu karabinek kawaleryjski kunsztownie nabijany paciorkami. Ażeby nadać sobie prawdziwie zbójnicki wygląd, zapuścił Iwaniuk długą brodę. Grasował on w okolicach między Żabiem, Worochtą i Kosmaczem, ukrywając się przed pościgiem policji w dzikich ostępach góry Kostryczy i pasma Czarnohorskiego. W początkach karjery zbójnickiej Iwaniuka Huculi otaczali go opieką i ochraniali przed władzami, jednak gdy bandyta przebrał miarkę i zaczął też rabować biedaków, sympatje ludności huculskiej oziębły i postanowiono go podstępem wydać w ręce policji. Rada w radę, zaproszono Iwaniuka do krewnych jego na jakąś uroczystość rodzinną. W czasie libacji gospodyni domieszała Iwaniukowi do kieliszka z wódką ziół odurzających, a mąż jej zawiadomił policję, że opryszek znajduje się w jego chałupie. Pomimo odurzenia Iwaniuk, zobaczywszy policjantów, zaczął się zażarcie bronić, tak że dopiero po dłuższej walce został skrępowany i odwieziony do więzienia w Kołomyji.

Pierwsze drogi szklane w Polsce. Starannie przeprowadzone przez inżynierów drogowych doświadczenia w celu wynalezienia najodpowiedniejszego i najtańszego materjału do budowy dróg, wykazały, że znakomitym materjałem do tego celu jest mieszanina pospolitego u nas wapienia miękkiego i szkła wodnego. Szosy, ubite z tej mieszaniny, stanowią nadzwyczaj gładką i trwałą jezdnię, a koszty ich budowy są niewielkie. Budowę takich dróg rozpoczęła Szwajcarja już w r. 1924, a za jej przykładem wnet poszła i Francja, która dziś posiada już kilka tysięcy kilometrów szklanych dróg. Nasze ministerstwo robót publicznych również przedsięwzięło w tym kierunku energiczne starania, budując w województwie kieleckiem kilka próbnych odcinków dróg ze szkła. Poprzednio bawił we Francji delegat ministerstwa, który, zaznajomiwszy się tam z nowym wynalazkiem, przeprowadził u nas wspomniane próby, używając przytem materjałów wyłącznie krajowych. Próby dały jak najlepsze wyniki. Jezdnia ze szkła wodnego tworzy gładką, nieśliską, jednolitą powierzchnię. Hacele podków i obręcze kół nie zostawiają na niej żadnych śladów, Ze względu na obfitość w Polsce wapienia, nieprzydatnego przeważnie do żadnych innych celów, i z powodu niewysokich kosztów budowy takich dróg, niższych znacznie od kosztu asfaltów i jezdni betonowych, wynalazek ten może mieć olbrzymie znaczenie dla rozwoju komunikacji w Polsce.

Aresztowanie fałszywego księdza. Przeor zakonu OO. Franciszkanów w Lublinie, ojciec Gerard Antoni Kondej, zawiadomił policję, że w Polsce grasuje oszust, który pod powagą sutanny wyłudza od wiernych datki i ofiary na różne cele. Oszustem tym był były nowicjusz zakonu OO. Franciszkanów, niejaki Józef Horowski, wydalony z klasztoru za oszustwa i sprzeniewierzenia. Horowski pokradł z klasztoru blankiety i sporządziwszy sobie legitymację, objeżdżał dwory i wsie, gdzie kwestował na zakon oraz zbierał ofiary na budowę klasztoru przy ul. Kawęczyńskiej 69 w Warszawie, ofiarowując wzamian za ofiary obrazki i medaliki pamiątkowe. W ostatnich czasach puścił się nawet na grubsze oszustwa. Oto wysyłał do szeregu firm listy z podrobionym podpisem przeora, zawierające prośbę o datki w naturze i zapowiadające, że po ich odbiór zgłosi się delegat klasztoru, ks. Józef Horowski. W ten sposób oszust

ponaciągał sereg firm. Między innymi wyłudził kilka tysięcy cegieł do budowy klasztoru oraz wagon wapna. Po długich poszukiwaniach natrafiono wreszcie na ślad oszusta. W jednym z listów, który dostał się do rąk policji, Horowski zapowiadał, że przybędzie do Warszawy. W stolicy zatrzymał się w gospodzie dla księży przy ul. Chmielnej 27, gdzię go aresztowano. Znaleziono przy nim szereg listów przygotowanych do wysłania z prośbą o datki i zapowiedzią przybycia, czyste blankiety klasztorne, oraz kilkadziesiąt przeróżnych pieczęci, które zamówił sobie w Lublinie. Sędzia śledczy zastosował wobec oszusta bezwzględny areszt.

Niezwyczajny węch. W Karolinie pod Warszawą, w zakładzie dla dzieci niedorozwiniętych, przebywa fenomenalny chłopiec. Jest to 11-letni ślepiec, który ma węch tak niezwykły, iż posługując się tylko tym zmysłem, idzie śladem poszukiwanych ludzi nieraz po kilka kilometrów. Świat lekarski żywo interesuje się tym wypadkiem.

Studnia śmierci. Tragiczny wypadek podwójnej śmierci zdarzył się w Bielsku na Śląsku Cieszyńskim. Czternastoletni Jan Talik, udał się, jak to nieraz robił, do studni w celu zaczerpnięcia i przyniesienia wody na potrzeby domowe. Pochyliwszy się nad cembrowiną studni, doznał nagle zawrotu głowy, odurzony gazami, wydobywającemi się ze studni i straciwszy przytomność, wpadł do wody. Ojciec Talka, zaniepokojony długą nieobecnością syna, udał się do studni i zajrzał do środka i próbował wyciągnąć na pół żywego syna.



Wydobywające się z głębi gazy jego również odurzyły, skutkiem czego również stracił równowagę i wpadł do studni, znajdując śmierć wraz z swoim z synem. Talik osierocił żonę i pięcioro dzieci. Z powodu tych dwóch tragicznych wypadków śmierci władze sanitarne zajęły się zbadaniem trującej własności gazów, jak również przyczyny wydobywania się ich z głębi studni, czego poprzednio nikt nie zauważył. Cała sprawa wygląda bardzo tajemniczo.

Śmiertelny spór o miedzę. We wsi Holendry Pyzderskie (gmina Dłusk, powiat słupecki) od dłuższego czasu toczył się spór o miedzę pomiędzy ex wójtem Zygmuntem Chłodzińskim, a sołtysem Wacławem Matuszewskim. Sporną miedzę zaorywali na zmiany to jeden to drugi z gospodarzy, aż wreszcie cała sprawa oparła się o sąd. Wyrok sądowy przyznał słuszność Matuszewskiemu, i na tej zasadzie miedzę przeorał na swoją korzyść, zyskując w ten sposób wązki pasek ziemi. Nie mógł się z tem pogodzić zawzięty Chłodziński i w nocy miedzę przeorał znowu na swoją stronę. Dowiedziawszy się o tem Matuszewski, udał się do Chłodzińskiego z żądaniem, aby dla uniknięcia odpowiedzialności za czyn bezprawny miedzę przesunął na miejsce, przyznane przez sąd. Chłodziński pozornie zgodził się na to, lecz w duszy zaprzysiągł mu zemstę. Gdy po kilku dniach Matuszewski stwierdził, że Chłodziński nie spełnił obietnicy, sam przystąpił do ponownego przeorania miedzy w myśl orzeczenia sądowego. Wówczas Chłodziński z nabitym karabinem zaszedł drogę Matuszewskiemu i trzema strzałami położył go trupem na miejscu. Dokonawszy zabójstwa Chłodziński porzucił karabin wojskowy, który dostał uprzednio drogą nielegalną, przygotowując się do wywarcia zemsty na swym sąsiedzie, — i zbiegł do lasu. Policja zaczęła przeszukiwać las i po paru godzinach znalazła go wiszącego.

Teściowa otruła dziecko. Małżonkowie Stefan i Marja Piekarscy ze wsi Rembisze-Działy, gminy Goworowo w powiecie ostrołęckim, udając się do pracy w pole, pozostawili w domu pod opieką teściowej Heleny Rubaszewskiej 8 miesięczne dziecko, które po powrocie do domu zastali martwe. Zapytywana przez nich o przyczynę śmierci dziecka Rubaszewska oświadczyła początkowo, że dała mu trochę octu, ażeby przestało płakać, później jednakże przyznała się, że otruła je rozmyślnie, aby ulżyć córce obarczonej trojgiem nieletnich dzieci. Rubaszewska została aresztowana przez policję i przekazana do dyspozycji sędziego śledczego.

Krwawe imieniny. Z Wilkołazu w powiecie janowskim piszą nam: W ubiegłą niedzielę we wsi Dobrowola wyprawiał huczne imieniny zamożny gospodarz L. Janczarek. Nie brak też było i kochanej „wódeczki", którą goście dobrze sobie podchmielili. Dwóch z gości Janczarka, A. Tokarski i F. Siędur, wszczęli pomiędzy sobą sprzeczkę, poczem pochwytali się za czupryny i wywlekli na gościniec. Koniec tych zapasów był nadzwyczaj smutny, bo kiedy Siędur zdołał się otrząsnąć z pod przemocy Tokarskiego, spostrzeżono, że w brzuchu jego tkwi nóż, którym go ugodził Tokarski, dziurawiąc mu jelita. Rannego odstawiono do szpitala w Lublinie, gdzie po długich męczarniach wyzionął ducha, zaś zabójcę aresztowano i umieszczono w więzieniu. Oto skutki pijatyki.

Wilki na Litwie. Ze wszystkich odcinków pogranicza polsko-litewskiego nadchodzą wiadomości o licznem rozmnożeniu się wilków, które stały się prawdziwą zmorą tamtejszej ludności. Po stronie litewskiej ukazały się całe stada wilków, które krążą po okolicy, poszukując żeru. Onegdaj w nocy na odcinku Kołtyniany wilki napadły na patrol straży litewskiej. Mimo rozpaczliwej obrony, jeden z żołnierzy został rozszarpany.

Powieszony na krzyżu. W okolicach miasta Sławgorod na Syberji wybuchło powstanie chłopów przeciw rządowi sowieckiemu. Na czele ruchu stali: chłop Ogarkow i duchowny prawosławny Łokatkin. Po szeregu drobnych potyczek, które przez dwa tygodnie niepokoiły całą okolicę, wojsko sowieckie zmusiło powstańców do przyjęcia bitwy, w której po obu stronach padło zgórą 160 osób. Duchowny Łokatkin, ciężko ranny w bitwie, został wzięty do niewoli. Stawiono go przed sądem doraźnym i powieszono na cmentarzu na jednym z krzyżów.

Prawosławny mnich mordercą. W Ławrze Pieczerskiej, w miejscu świętem dla prawosławnych, w Kijowie, dokonano morderstwa na osobie zakonnicy Baryszkinowej. Mordercą jest stary mnich Eugenjusz Czechun, który dostał pomieszania zmysłów z powodu prześladowań władzy sowieckiej. Kiedy Baryszkinowa weszła do jego celi z pożywieniem, Czechun, myśląc, że przybyła jest agentką zbirów bolszewickich, zabił ją uderzeniem siekiery.

Najpiękniejsza szkoła w świecie. Do Rady miasta Pragi wpłynął projekt budowy nowej szkoły ludowej na Starych Wysoczanach, który przedstawia najdoskonalszą i najbardziej nowoczesną budowę tego ro-

dzaju, nietylko w Czechosłowacji, ale w całej Europie. Cały gmach spoczywa na słupach żelazo betonowych i posiada centralną klatkę schodową, która łączy trzy szczególne jego skrzydła. Każda klasa, wraz z ubikacjami pobocznemi, jak umywalnia, szatnia, łazienki, stanowi jakby oddzielne mieszkanie. Wszystkie sale naukowe mają oświetlenie sufitowe. W gmachu znajduje się kantyna, sala rekreacyjna, czytelnia i sala gimnastyczna wraz z prysznicami. Przewidziano też zupełny ambulans lekarski. Na płaskim dachu urządzone są miejsca dla kąpieli słonecznych, a w parku szkolnym mieszczą się rozległe boiska. Budowa tego gmachu, który kosztować będzie 3 miljony koron czeskich, ma być rozpoczęta za dwa tygodnie. Widać z tego, jak Czesi dbają o oświatę i zdrowie swej dziatwy i dlatego też są narodem bogatym. U nas zaś na wszystko pieniądze się znajdą, ale nie na szkołę. Niech za przykład służy taki Kraków, który od dwudziestu kilku lat nie zbudował ani jednej szkoły i w którym dotychczas nauka odbywa się jeszcze w drewnianych barakach.

Tajemnicze napady. W największem mieście Nadrenji, Düsseldorfie, panuje od paru dni prawdziwa panika, z powodu mnożących się tajemniczych napadów na samotnych przechodniów i dzieci. Wydarzenia te przypominają słynnego w swoim czasie Kubę Rozpruwacza. W ciągu ostatnich 10 dni pięć osób zostało napadniętych i ciężko poranionych nożem. Czynów tych dopuścił się nieznany osobnik, który dotychczas zawsze zdołał umknąć wśród panujących ciemności. W ubiegłym tygodniu znaleziono dwoje dzieci z podciętemi gardłami. W niedzielę w nocy pewna służąca, powracając na rowerze przez mniej ożywione ulice, została napadnięta przez owego nieznanego napastnika, który strącił ją z roweru i poranił ciężko nożem w głowę. Policja düsseldorfska wszczęła energiczną akcję celem schwytania napastnika, którym, jak przypuszczają, jest jakiś obłąkany.

Olbrzymi pożar w Paryżu. W ubiegłym tygodniu w jednej z dzielnic barakowych na przedmieściu Paryża wybuchł olbrzymi pożar, 200 baraków spłonęło doszczętnie, wskutek czego 4000 osób pozostało bez dachu nad głową. W całym Paryżu nieszczęście to wywołało ogólne współczucie, ponieważ spotkało ono najbiedniejszą warstwę ludności. Spróchniałe ściany drewniane baraków stanowiły dla szalejącego żywiołu doskonały żer i w ciągu niespełna godziny prawie cała dzielnica barakowa spłonęła. Straże pożarne jeszcze o godz. 4-tej rano walczyły z pożarem. Szkoda dochodzi do kilku miljonów franków.

Pomysłowa służąca. Dwudziestoletnia służąca Marja Pesta z miejscowości Tortona we Włoszech słyszała o tem, że Mussolini wzywa naród włoski do powiększenia liczby rodzin. Napisała więc do dyktatora Włoch list, który teraz ukazał się w wielu dziennikach włoskich, a komentowany jest głównie z tego powodu, że pismo to miało skutek nadzwyczajny. List owej służącej zawiera między innemi następujące słowa: „Wasza ekscelencjo! Jestem młoda, zdrowa, silna i czuję to, że mogłabym ojczyźnie dać kilku dzielnych synów. Chciałabym wyjść zamąż, lecz nie mam grosza na wyprawę. Zwracam się przeto do Waszej Ekscelencji o pomoc. Wszakże znana jest wielkoduszność Wasza. Dopomóżcie mi, a ja dotrzymam przyrzeczenia danego ojczyźnie“. Marja Testa otrzymała z gminy swojej posag. Zapewne zgłosi się także pretendent do jej ręki i posagu, zwłaszcza, że obecnie Marja Testa stała się znaną osobistością we Włoszech, a podobizna jej pojawiła się w wielu włoskich czasopismach. Oczywiście po zamążpójściu będzie się starała wszelkimi siłami o dotrzymanie obietnicy.

72 lata w zakonie. W klasztorze w Merckem' koło Namur, w Belgji odbyła się ostatnio niezwykła uroczystość. Oto przebywająca w tym klasztorze zakonnica, siostra Joanna, urodzona 26 czerwca 1829 roku, obchodziła stulecie swych urodzin. Siostra Joanna pochodzi z Bretanji i przed siedmdziesięciu dwu laty wstąpiła do zakonu w Lyonie. Po piętnastu latach wysłano ją do Belgji w charakterze pielęgniarki w szpitalach i przytułkach klasztornych. Pracę tę pełniła siostra Joanna bez przerwy przez 53 lata i dopiero przed 4 laty z powodu podeszłego wieku i całkowitej głuchoty musiała ją porzucić, pomimo, że do dziś zachowała zdrowie. Siostra Joanna jest prawdopodobnie najstarszą na świecie zakonnicą.

Olbrzymia powódź w Indjach. Powódź w Indjach przybiera coraz większe rozmiary, W Kaszmirze na przestrzeni 650 km. wzdłuż brzegów wsie i pola stoją pod wodą. Ludność 5-ciu okręgów administracyjnych dostała nakaz opuszczenia siedzib. Transport ludności napotyka na ogromne przeszkody wskutek podmycia przez wodę torów kolejowych. Komunikacja z terenami zalanemi i zagrożonemi jest przerwana. Nad obszarami zalanemi krążą samoloty, które zrzucają żywność oraz po powrocie składają raporty o sytuacji, Bhakkar — miasto, liczące 10 tys. mieszkańców zostało zalane. Przypuszczają, iż ludność, otrzymawszy nakaz opuszczenia miasta, nie pozostała w swych siedzibach, wobec czego liczba ofiar musi być niewielka. Powódź grozi zniszczeniem kanału w Sukkur. Ludność z terenów zagrożonych ucieka w stronę Himalajów.

Pogrzeb w 86 lat po śmierci. W r. 1843 niejaki Robert Mattersberger, przewodnik górski, wyruszył z całem towarzystwem turystycznem w góry i tam na oczach całej wycieczki podczas marszu po lodowcu wpadł w jedną z jego licznych i niebezpiecznych szczelin. Próby ratunku i wydobycia nieszczęśliwego spełzły wówczas na niczem. Obecnie po 86 latach jacyś podróżnicy, zwiedzający te same pola lodowe, zauważyli w pewnem miejscu niezbyt głęboko pod lodem coś przeświecającego i podobnego do postaci człowieka. Po wyrąbaniu lodu przypuszczenia te okazały się trafne, gdyż rzeczywiście były to zwłoki ludzkie doskonale zakonserwowane. Po rozmaitych szczegółach zdołano stwierdzić, iż zwłoki te są zwłokami Mattersbergera, zmarłego tragiczną śmiercią przed 86 laty. Lodowiec, który podlega nietylko powolnemu ruchowi, ale także rozmaitym zmianom, musiał się widocznie w pewnych miejscach pokruszyć, co umożliwiło odnalezienie zwłok i pochowanie ich na cmentarzu w Insbruku.

Operacja przez nieporozumienie. Okropne przeżycie miał w Londynie pewien niemiecki marynarz, który chciał odwiedzić swego kolegę w jednym z londyńskich szpitali. Pora przeznaczona na odwiedzanie chorych już minęła, kiedy marynarz znalazł się w szpitalu. Ponieważ nie znał on języka angielskiego, próbował na migi pokazać, o co mu chodzi. Ale nie zrozumiano go i lekarz ordynujący zarządził w krótkiej drodze, by zaprowadzono marynarza do sali operacyjnej. Tu poczęto go rozbierać, a marynarz do najwyższego stopnia przerażony, napróżno usiłował stawiać opór. Wkrótce wszelkie sprzeciwy ustały, bo marynarza odurzono eterem. Natychmiast przystąpiono do operacji i wyjęto marynarzowi wyrostek robaczkowy. Dopiero po pewnym czasie, kiedy już marynarz po dobrze przebytej operacji wracał do zdrowia, spotkał się ze swoim kolegą i nieporozumienie zostało wyjaśnione. Marynarzowi ofiarowano zaraz 50 funtów tytułem odszkodowania za niedobrowolnie przebytą operację.

RZECZY CIEKAWE.

Żydzi polscy w Palestynie.

Urząd emigracyjny i sjonistyczny wydział Palestyny podał następujące daty statystyczne, dotyczące emigracji polskich żydów w Palestynie:

W ciągu ostatnich 10 lat wyemigrowało z Polski do Palestyny około 50 tys. żydów, przyczem największy ruch przejawił się w r. 1926, kiedy to wyjechało do Palestyny aż 20 tys. osób.

W r. 1927 emigrowało już tylko 6 tys. żydów, w r. 1928 — 200, w roku bieżącym zaledwie kilkadziesiąt osób.

Tak znaczne zmniejszenie emigracji tłumaczy się nietylko poprawą sytuacji gospodarczej w Polsce. Główną przyczyną jest znaczne pogorszenie konjunktury w Palestynie, gdzie ostatniemi laty zaznaczyły się: nadmiar rąk do pracy, zastój w handlu i trudności uprawy roli.

Główne skupiska żydów polskich w Palestynie, oprócz Jerozolimy i Euharoch, znajdują się w kolonjach rolniczych Rechobod i Necht. Tione.

Z mas żydowstwa polskiego, które wyemigrowały do Palestyny, tylko znikoma część przyjęła tamtejsze obywatelstwo, większość zaś zachowuje przynależność polską i korzysta z opieki naszego konsulatu.

Najbardziej oświecony kraj.

Statystyka amerykańskiego biura oświatowego wykazuje, że Danja zajmuje pierwsze miejsce na świecie pod względem oświaty. Jest to kraj, gdzie prawie, że niema analfabetów.

Stany Zjednoczone znajdują się w pierwszej grupie narodów — gdzie jest mniej niż 10 procent analfabetów. Zajmują jednak szóste miejsce po Danji, ponieważ następnemi państwami po Danji, są Anglja, Szwecja, Kanada, Japonja i dopiero Stany Zjednoczone.

Następnie kraje, gdzie czytelnictwo jest dobrze rozwinięte, to Francja, Irlandja, Belgja, Niemcy i Włochy.

Trzecia grupa obejmuje Polskę, Czechosłowację, Rumunję i wogóle państwa słowiańskie.

Podając powyższe dane, statystyka stwierdza, że pomimo tak wielkiego rozwoju cywilizacji, naogół jeszcze połowa mieszkańców świata nie umie czytać i pisać.

Olbrzymy wśród ptaków.

Mało kto jednak wie, że w czasach stosunkowo niedawnych, bo jakie 100 do 200 lat temu żyły ptaki tak wielkie, że struś największy z żyjących dziś ptaków wyglądał przy nim jak kura przy orle.

W Nowej Zelandji żyły jeszcze w ośmnastem stuleciu ptaki zwane Moas, lub strusie nowozelandzkie, których wzrost wynosił 3 metry. Jeszcze większe były t. zw. Strusie Madagaskarskie, które prawdopodobnie wymarły z początkiem siedmnastego wieku i które dochodziły do 5 metrów wzrostu, a ważyły 300 kilogramów. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie ptak ten musiał robić na człowieka. Nie człowiek też wytępił go, lecz prawdopodobnie kataklizmy przyrody i choroby. Jaja tych monstrualnych strusi, których około 40 sztuk w różnych muzeach się znajduje posiadają 34 cm. długości i 22 cm. szerokości; w jednem jajku mieści się około 10 litrów! Jest ono zatem 6 razy większe od jajka strusia, a 150 razy większe od kurzego.

Ubranie papierowe na upały.

Upały panujące z końcem sierpnia i początkiem września nietylko u nas, ale i w Ameryce, zmuszają tamtejszych mieszkańców do wymyślania takich ubrań męskich, które, nie obrażając uczuć estetycznych, byłyby przytem jak najlżejsze. Najnowszym amerykańskim wynalazkiem na tem polu są ubrania z papieru.

Pierwsze modele tych nowych ubrań pochodzą od dyrektora muzeum przemysłowego w Chicago, który wynalazł gatunek papieru, będący miękkim, podatnym i nieprzepuszczalnym. Ażeby zadowolnić gust każdego poszczególnego obywatela, papier ten wytwarza się we wszystkich modnych kolorach. Ubranie z takiego papieru kosztuje 2 dolary, jednak jego wytrzymałość, rzecz oczywista, nie przekracza dwóch tygodni. Po dwóch tygodniach odrzuca się takie ubranie i kupuje nowe.

Sporządzenie tego ubrania jest znacznie prostsze niż przy ubraniach wełnianych. Gość wchodzi do sklepu, krawiec zdejmuje zeń miarę, poczem może się przyglądać jak w przeciągu pół godziny powstaje cały kostjum. Zostaje ono bowiem tylko przykrojone, a następnie specjalnym klejem sklejone.

Zaraz potem może już kupujący wyjść na spacer w swojem nowem ubraniu, aby po 2 tygodniach, znowu tylko za dwa dolary, módz paradować w innem, nowiuteńkiem.

Najstarszy parlament

Najstarszą Izbą Poselską jest Athing, parlament islandski, który w roku przyszłym będzie obchodził uroczystość swego tysiącletniego istnienia.

Norwedzy, którzy stanowili ludność wyspy, odkrytej w r. 795 przez mnichów irlandzkich, utworzyli autonomiczne państwo, którego parlament poraz pierwszy obradował w r. 930.

Następne lata były poświęcone na opracowanie Kodeksu Prawa. Całe terytorjum państwa zostało podzielone na 12 departamentów, z których każdy miał delegować do Parlamentu 3 posłów.

Prezydent miał władzę prawie absolutną.

Później nastąpiły dni gorsze dla młodej i pierwszej republiki. W w. XIII zajętą została przez Norwegów, a potem przez Duńczyków.

Niezależność swą zyskała dopiero po wojnie europejskiej w r. 1918.

Zauważyć należy jeszcze, że dawniej Parlament zbierał się raz jeden tylko do roku.

Nowe książki.

„Polonia Restituta". Taki tytuł nosi książka utalentowanego poety Franciszka Lipińskiego. Książka, którą powinien mieć każdy Polak, każdy syn miłujący swą odzyskaną Ojczyznę. Krwią serdeczną dał w niej poeta wyraz swym uczuciom, które są przepełnione gorącą miłością dla bohaterów, którzy mężnie bronili wolności Ojczyzny. Książka ta dla potomności będzie cennem świadectwem naszych czynów — zaś dla współczesności wspomnieniem tego, co niedawno przeżyła.

Pięknie w natchnieniu odmalował w niej poeta dzieje niewoli, dzieje ducha budzącego się narodu polskiego na tle wojny wszechświatowej. Najbardziej świetlistą postacią tej książki, to Wódz, przed którym poeta wraz z ca-

łym narodem ugina głowę. Czytając tę książkę, doznaje się różnych wstrząsów, uczuć i wrażeń. Stają więc naprzód pierwsze legjony, czytelnik sobie uświadamia, że przed nim się formuje zwarty szereg mundurów, który już za chwilę ruszy w krwawy bój za wolność drogiej Ojczyzny.

Następnie widzi tę garstkę zapaleńców mężnie walczącą bez jakichkolwiek ubocznych pobudek — jedynie z myślą dla Niej!

Z całego szeregu pięknych odstępów może najpiękniejsze jest odezwanie się do ludu wiejskiego: „Niech lud, co żyje u dołu, jak rój gorliwy pszczeli, stanie do pracy pospołu — to kwiatem pięknym wystrzeli, bo w kolorowych siermięgach siła, wiara, zdrowie drzemie!"

Trudno streszczać poemat obejmujący kilkadziesiąt stron druku tembardziej, że nawet najlepsze streszczenie nie wyłowi pereł rozsianych w całym utworze. Najlepiej będzie, jeżeli każdy z Czytelników nabędzie sobie ów poemat, który znajduje się na składzie w Domu książki polskiej w Warszawie. *Maryla „Widz"*.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Kachna Ł. Łza** w W.: Za przesłane utwory serdecznie dziękujemy i prosimy o dalszą pamięć. Oczywiście wszystkie dobre i będą zamieszczone. „Maciej w stolicy" i „Mazur z pod Warszawy" budzą podejrzenie, jakby je jedna ręka pisała. Czyżby takie podobieństwo talentów. A czemu to Pan Donat tak zamilkł zupełnie? Łączymy serdeczne pozdrowienie dla obydwojga Państwa. — **Władek z Wilkołaza:** W nadesłanym wierszyku znać chęć napisania dobrze, ale jest to jeszcze nie to, co być powinno Nie ma tam nic nowego, czegoby jeszcze nikt dotychczas nie napisał. Owszem, jesień opisano już tysiące razy i znacznie lepiej. Jeszcze nie do druku. — Franciszek **Leśniak** w F.: Nadesłane nam wierszyki przeczytaliśmy z wielką uwagą i jeżeli Pan napisał je samodzielnie, to możnaby pogratulować rzeczywistego talentu. Nim je jednak zamieścimy, prosimy bardzo o powiadomienie nas, czy jest to praca zupełnie samodzielna i czy możemy bez skrupułów podpisać pod nimi Pańskie nazwisko. Zależy nam tak bardzo na tem, gdyż są to utwory naprawdę dobre. Humor również zamieścimy. — **Edward Gutkowski** w B.: Czy coś przyjmiemy do druku, musimy to najpierw przeczytać. Jeżeli więc Pan posiada odpowiednie utwory, do „Roli", to niech je Pan przyśle, a wówczas odpowiemy. **Józef Rodak** w T.: Z nadesłanych szarad skorzystamy. — **Piotr Wenc** w S.: Dziękujemy. — **Jan Pelczar** w W.: S.: Nadesłany artykuł zamieścimy prawdopodobnie jako wstępny w najbliższej przyszłości. — **Marja Wawrzykówna** w P.: Były częste wyjazdy, więc na listowne odpisywanie nie było czasu. Brakujący numer wysłaliśmy. Okładki na rocznik daliśmy już introligatorowi zrobić i będą wkrótce gotowe. Za pozdrowienia i pochwały dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **Marcin Skrzyniarz** w D. W.: Za pochwały dla „Roli" dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. Brakujący numer posłaliśmy. — **Wł. Janczarek** w W.: Objaśnienia pod tym względem dadzą w wojskowej Powiatowej Komendzie Uzupełnień. — **Józef Frasik** w K.: „Hymn do pracy" przeznaczamy do druku. — **Franciszek Banyj** w J.: Obecnie już spóźnione. — **Jakób Kosiarz** w S. G.: Ależ nadesłany nam wiersz nie jest Pańskiego układu. Jeszcze byłem małym chłopcem, gdy już ten wierszyk słyszałem; nie mógł go więc Pan ułożyć, bo wtedy Pana na świecie nie było. Humor również już dawno jest znany.

Unieważniam skradzioną książeczkę wojskową na nazwisko Jan Pleban urodzony 1900 r. w Mielcu, wydana przez P. K. U. Rzeszów.

Zagadki do nagrody.

1. Kwadrat magiczny.

(Ułożyli Rudawiacy)

M / R O / I	L / H O / C	L / K I / E	W / S Z / I	K / Ł K / J
I / P A / E	A / A C / S	R / W S / O	W / I U / S	K / K I / I
S / C Z / I	M / W I / O	Z / R E / E	Ż / D E / E	W / K O / I
M / I E / A	Z / W I / I	K / D Z / R	W / C Z / A	W / K O / S
C / W S / Z	K / I E / I	W / Ś C / S	C / Ż Ó / Z	C / S T / K

Powyższe kwadraciki tak poprzestawiać, aby otrzymać dziesięć nazwisk sławnych Polaków i Polek (pięć w kierunku poziomym, pięć w kierunku pionowym). Dla ułatwienia zaznaczamy, że pierwszy kwadracik powinien pozostać na swojem miejscu. Aby „Roli" nie niszczyć, najlepiej podobny kwadrat narysować sobie na innym papierze, pociąć go na drobne kwadraciki, i dopiero kwadraciki te przesuwać. Będzie to nietylko pożyteczne ćwiczenie, ale i miła zabawka.

2. Zagadki.

(Ułożył Bronisław Gołębiowski).

I.

Krótki z długim solidarnie,
Wypisują przychód w ziarnie.

II.

Dyplomu doktorskiego wcale nie posiada,
Chirurg z niego jednak, chirurg to nielada,
Na pacjentach swoich sumiennie studjuje,
Różne operacje na nich wykonuje.

III.

Starzy i młodzi przedemną stają
I mnie pytania różne zadają,
A ja im prawdę bezwzględną prawię,
Bo prawdę nad wszystko sławię.

IV.

Jest bardzo gościnnym — choć jak długo [żyje,
Innych wciąż częstuje, sam nigdy nie je.

V.

Ptak to bardzo mały,
A zna go świat cały,
Bo z wszystkich ptaków świata,
On najwyżej lata.

VI.

Jakby przeróżnych plemion kraina,
Jakby zgodliwa — wielka rodzina
Pod niebios stropem w zadumie żyje,
Swych — przed człowiekiem skarbów nie [kryje.

3. Szarady.

(Ułożył Jakób Jeziorański).

I.

Pierwsze owoc — futro wtóre,
A za wszystko biją w skórę.

II.

Pierwsze u wszystkich kupców się zna- [chodzi
Drugie łąkom wielce szkodzi,
Wszystko płazowi wyrósłszy na grzbiecie
Często zdobi włos kobiecie

III.

Pierwsze i drugie i pół trzeciej — jest wiel- [ce cierpliwe,
Podczas gdy pół trzeciej i czwarte złośliwe,
Wszystko (całość) chociaż szpeci ząbki
Biorą i Panie do gąbki.

4. Układanki.

(Ułożył Fela Jan).

1. Dużo + miara powierzchni + spółgłoska = siłacz.
2. Zwierz + spółgłoska + zaimek wskazujący + zaimek osob. = kwiat.
3. Przesyłka pocztowa + deszcz = miesiąc.
4. Posiada inaczej + spółgłoska + utwór budowlany = kamień.
5. Rzeka + gorąc = klęska.
6. Zwierzątko wodne + samogłoska + litera grecka = przyrząd sportowy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 21 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 33 „Roli": 1. Logogryf: Obrona Częstochowy — O. Augustyn Kordecki. 2. Zagadka: Okoń. 3. Szarady: I. Balladyna. II. Samowary. 4. Krzyż magiczny: Andrzej, Bernard, Jozafat.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: I. Zajączkowski z S., Tadeusz Kwerka z W., Jan Bura z W., Jan Gara z W., Piotr Wenc z S.

Nagrody wylosowali pp.: I. Zajączkowski z S. i Jan Bura z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

— Mój panie, oszukałeś mię niegodziwie na koniu, którego mi sprzedałeś.

— Jakto?

— Ano zaledwie kilka dni, jak go kupiłem i już zdechł bestja.

— To dziwne, bo u mnie tego nigdy nie robił.

Lokaj nieuk.

— Proszę jaśnie pana, w przedpokoju czeka jakiś żyd.

— Jeśli z pieniądzmi, to go wpuścić, jeśli po pieniądze, to go wyrzuć! Kiedy ty się służby nauczysz?

Słuszna przyczyna.

Dlaczego ziemia jest okrągła?

Dlatego, żeby jej nie zanieczyszczać po kątach.

Szczerość.

— Doktorze, pan, który tak gruntownie posiadasz sztukę leczenia ludzi, co pan robisz na wypadek przeziębienia się?

— Kaszlę, kochana pani.

Dzieci.

— Zobacz, Helciu, czy jeszcze jest nafta w lampie.

— Nie wiele. Dla mnie samejby może jeszcze wystarczyła, — ale czy dla was dwóch, wątpię.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 5 września b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·20 do 1·70 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·72 zł.
Woły	od 1·31 do 1·82 zł.	Cielęta	od 1·87 do 2·72 zł.
Krowy	od 0·94 do 1·69 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·50 do 2·82 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·20 do 3.68

Giełda płodów rolniczych

z dnia 6 września b. r.

Pszenica	41·00—42·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	25·50—26·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	20·00—21·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień	26·00—27·00	Mąka żytnia	42·50—43·00
Fasola biała	125·00—135·00	Mąka pszen.	75·00—76·00
Groch zwyk.	48·00—51·00	Otręby pszen.	18·50—19·00
Siano słodk.	9·50—10·50		

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.